WYDANIE DLA WYBRZEŻA C Cena 3 złote

GŁOS LUDU

PISMO POLSKIEJ PARTII ROBOTNICZEJ

Rok III WARSZAWA, WTOREK 19 LISTOPADA 1946 R. Nr 317 (705)

DZIŚ W NUMERZE

Trzyletni plan szkolenia fachowców

Uroczyste akademie w związku z „Dniem RTPD"

Obrady Rady Naczelnej Odbudowy Stolicy

»Cegielski«

W sobotę zakłady „Cegielskiego" w Poznaniu obchodziły stulecie swego istnienia. Zakłady te, rozwijające się z trudem pod pruskim zaborem, potem zahamowane w Drugiej Rzeczypospolitej w rozwoju przez trudności gospodarcze, przechodzą obecnie okres bujnego rozkwitu.

W ich święcie wzięli udział przedstawiciele Rządu, przedstawiciele ruchu robotniczego, przedstawiciele Wojska Polskiego i władz miejscowych. Tak święto robotników i pracowników umysłowych „Cegielskiego" stało się uroczystością całej pracującej Polski.

Dwa momenty zadecydowały o takim zasięgu tej uroczystości.

Zakłady „Cegielskiego" stanowią dziś własność narodu, własność państwa. Nie ma dziś walki społecznej pomiędzy załogą i kierownictwem firmy.

Kiedyś — za Drugiej Rzeczypospolitej — zakłady „Cegielskiego" należące wtedy do prywatnego kapitału, były twierdzą ruchu robotniczego w Poznaniu. Były terenem wielkich starć i wielkich konfliktów. Po wyzwoleniu państwo przejęło zakłady. „Czerwoni" metalowcy od „Cegielskiego" stali się pierwszymi w odbudowie zniszczonych przez działania wojenne warsztatów. Koło PPR na terenie „Cegielskiego" liczy dziś ponad tysiąc robotników i pracowników umysłowych — i oni to są, wraz z towarzyszami — pepesowcami — czołową siłą usprawnienia pracy fabryki.

Dyrektor Centralnego Zarządu Przemysłu Metalowego, tow. Lesz podkreślił udział robotników w odbudowie, podkreślił, że obecne wyniki pracy „Cegielskiego", to dzieło ich ofiarnej pracy. Kiedy przedtem mogłoby to stać się przy takiej uroczystości? Kiedy przed tem aktywny, wieloletni działacz robotniczy mógłby być naczelnym kierownikiem całej gałęzi przemysłu?

Na ten uroczysty charakter obchodu wpływa również znaczenie gospodarcze, jakie posiadają zakłady „Cegielskiego" dla dalszej odbudowy kraju. Dostarczają one wagonów dla naszego kolejnictwa, maszyn rolniczych dla naszej wsi, obrabiarek i narzędzi dla naszych fabryk, zniszczonych przez wojnę. Ruch robotniczy, *Rząd*, władze państwowe doceniają dziś znaczenie warsztatów pracy gospodarczej, interesują się nimi, umieją postawić problemy tej pracy w sposób odpowiedni przed całym społeczeństwem.

W obchodzie stulecia „Cegielskiego odbijają się wszystkie te przemiany, które dokonały się w Polsce w ciągu dwóch lat rządów obozu demokracji polskiej.

RTPD dobrze zasłużyło się Ojczyźnie

W walce o zdrowie moralne i fizyczne dzieci

List prezydenta Bieruta z okazji dnia RTPD

W czasie uroczystej akademii w Teatrze Polskim zorganizowanej z okazji „Dnia RTPD", wiceprezydent Barcikowski odczytał przesłane przez prezydenta ob. Bolesława Bieruta pismo z okazji uroczystości. Treść pisma brzmi, jak następuje:

OBYWATELE!

Wśród wielu zadań ciążących na Rządzie i społeczeństwie polskim, wśród zagadnień o wielkim znaczeniu państwowym, na czoło wysuwa się niewątpliwie sprawa opieki nad dzieckiem.

Na nas ciąży dziś wielki obowiązek najszybszego usunięcia śladów strasznych zniszczeń fizycznych i moralnych, jakie spowodowała w młodym pokoleniu wieloletnia okupacja niemiecka.

Na nas ciąży również obowiązek naprawienia tych krzywd, jakie doznawało dziecko robotnicze, dziecko chłopskie, dziecko inteligenckie, przychodząc na świat, w tym najcięższym okresie niewoli i zniszczeń.

RTPD, które rozpoczęło swą działalność jeszcze w 1919 roku, ma niezaprzeczalne zasługi w walce o zdrowie moralne i fizyczne dzieci polskich. Organizowanie sieci szkół, w których stosowane były nowoczesne prądy pedagogiczne, wychowanie dzieci od lat najmłodszych w duchu ideałów demokratycznych, troska o danie dzieciom robotniczym takiego samego startu życiowego, jaki miały dzieci warstw posiadających, tworzenie dla dzieci, objętych opieką Towarzystwa, wzorowych warunków zdrowotnych — wszystko to stwarza poważny, zasługujący na uznanie dorobek RTPD.

Dziś w Polsce Odrodzonej wychowanie młodego pokolenia w duchu demokratycznym, stworzenie jak najlepszych warunków dla młodego pokolenia musi stanowić przedmiot specjalnej troski zarówno władz państwowych, jak i całego społeczeństwa.

Nasz budżet przewiduje poważne, w każdej proporcji bez porównania wyższe niż przed wojną kwoty na przedszkola, szkoły, żłobki, sierocińce, na wszelkiego rodzaju instytucje, powołane do opieki nad dzieckiem.

Ale mimo tej opieki Państwa, wobec ogromu zadań i potrzeb w dziedzinie wychowania dziecka — każdy obywatel musi wziąć czynny współudział w trosce o dziecko. RTPD przeto ma dziś do spełnienia nie mniej niż dawniej poważne zadania.

Toteż uważam, że dobrze się stało, że tak wartościowa i pożyteczna instytucja postanowiła wyznaczyć jeden dzień w roku, jako własne swe święto, jako dzień specjalnie poświęcony akcji propagandowej, akcji informującej o celach i ideach o zadaniach i osiągnięciach RTPD.

Pragnąłbym, aby dziś dzień RTPD zmobilizował wokół doniosłej sprawy opieki nad dzieckiem jak najszersze masy społeczeństwa, aby spopularyzował idee i metody pracy RTPD.

Ze swej strony życzę wszystkim pracownikom i kierownictwu RTPD dalszych sukcesów w ich pięknej pracy nad wychowaniem dzieci polskich na zdrowych, ideowych i światłych obywateli demokracji.

(—) BOLESŁAW BIERUT

Przebieg uroczystej akademii z okazji „Dnia RTPD" podajemy na str. 3.

Doniosłe dekrety

ogłoszono w Dzienniku Ustaw R. P.

Prezydent Krajowej Rady Narodowej zarządził ogłoszenie w Dzienniku Ustaw R. P. następujących dekretów:

1) o daninie narodowej na zagospodarowanie Ziem Odzyskanych,
2) o podwyższeniu zaopatrzenia pieniężnego inwalidów wojennych i wojskowych,
3) o poborze rekruta na rok 1947,
4) o Państwowej Radzie Komunikacyjnej,
5) o organizacji samorządu zawodowego lekarskiego, lekarsko - dentystycznego i aptekarskiego.

„Ciszej nad tą trumną"

Sprawa o której „Tygodnikowi Warszawskiemu" przystoi milczeć

Istnieją dziwne zbiegi wypadków. Dwadzieścia dwa lata temu młodzież akademicka, należąca do pewnego obozu politycznego, obrzuciła błotem Prezydenta Rzeczypospolitej, który udawał się do Sejmu na akt swego zaprzysiężenia.

Dzień czy dwa dni później — ten Prezydent Rzeczypospolitej padł od kuli fanatyka, fanatyka reakcji polskiej.

Wtedy to organ tych, którzy szczuli do morderstwa, zamieścił artykuł, zatytułowany „Ciszej nad tą trumną". Artykuł, usiłujący po jezuicku wykręt tami i oszustwem wyślizgnąć się od odpowiedzialności za zbrodnię, do której podżegał...

A tymczasem w wielu kościołach w kraju odprawiono msze żałobne na intencję duszy mordercy. **Nie zamordowanego.**

Niedawno w Łubinie Kościelnym miejscowy proboszcz szczuł przeciwko Lidze Kobiet.

W kilka dni później w tymże Łubinie Kościelnym zamordowana była instruktorka Ligi Kobiet, ob. Stefania Roszkowska, matka dwojga dzieci.

Liga Kobiet stwierdziła te fakty w Liście Otwartym do Episkopatu Polskiego.

„Tygodnik Warszawski", noszący w swym tytule napis: „Pismo Katolickie, odpowiedział na to m. in.:

„Kościół Katolicki patrzy nie tylko na statuty pisane, ale patrzy przede wszystkim na czyny. Członkinie Ligi Kobiet w większości są katoliczkami — w to trudno wątpić biorąc pod uwagę 96 proc. katolików w naszym państwie. Że nie zawsze władze decydujące w Lidze Kobiet postępują jak katoliczki, to najlepszy dowód że posłanki z L. K. głosowały za reformą prawa małżeńskiego, choć kościół ją potępił. Liga Kobiet posługuje się pod wezwaniami wyraźnie politycznymi, nieraz nawet ze szkodą dla idei społecznych przez siebie w statucie reprezentowanych. Mimo tego potępienie organizacji działającej w całym Państwie przekracza możliwości jednego proboszcza. Mamy wrażenie, że nie było dymu bez ognia i **proboszcz musiał mieć ważne podstawy, aby wypowiedzieć się przeciwko miejscowej Lidze Kobiet".**

Czyli, innymi słowy „Tygodnik Warszawski" **solidaryzuje się z proboszczem, po którego kazaniach przyszły mordercze strzały.**

*

Trzeba sprawę postawić jasno:

„Tygodnik Warszawski" nie jest po prostu, jak się sam mianuje, „pismem katolickim, poświęconym zagadnieniom życia narodowego". Jest organem określonej grupy polityków, lubiących firmą „katolicyzmu" przykrywać swoją linię ideową, linię — by nawet konkretnie — „umiarkowanego" konserwatywnego (w odróżnieniu od jawnie faszystowskiego) odłamu przedwojennego Stronnictwa Narodowego i prawego, najbardziej reakcyjnego skrzydła Chrześcijańskiej Demokracji.

Wśród publicystów „Tygodnika Warszawskiego" jest szereg nazwisk, które były szczególnie głośne już dwadzieścia lat temu, kiedy to nagonka tych samych grup politycznych doprowadziła do zamordowania Pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej.

Czy ci, którzy wtedy z ambon szczuli przeciw „żydowskiemu Prezydentowi", którzy urządzali msze żałobne na intencję Eligiusza Niewiadomskiego, **nadużyli** kościoła dla celów politycznych, nie mających niczego wspólnego z wiarą katolicką?

Sądzimy, że dziś nie zaprzeczą temu ani p. Helena Parmenkowa, ani p. Stanisław Rymar, ani ks. Kaczyński.

Jaki jest sens, sens odpowiedzi „Tygodnika Warszawskiego" na List Otwarty Ligi Kobiet.

Jest to aprobata, udzielona księdzu, którego kazanie zbiegło się niemal dokładnie w czasie z morderczymi strzałami. Jest to — mówiąc obrazowo — msza, odprawiona **na intencję mordercew ś. p. Koszkowskiej.** Jest to — mówiąc politycznie — zapowiedź, że kler, lub przynajmniej część kleru, kierując się wskazaniami „Tygodnika Warszawskiego", ma zamiar nadużywać ambony dla celów kampanii **politycznej** bloku PSL i reakcyjnego podziemia, ma zamiar wciągnąć kościół do zaostrzającej się z natury rzeczy w okresie wyborczym akcji politycznej.

Mieliśmy dotąd wypadki angażowania się w akcję terrorystyczną podziemia, poszczególnych księży, a zwłaszcza zakonników. Ale nie mieliśmy dotąd solidaryzowania się z tymi przestępcami legalnych grup klerykalnych. Mogliśmy przyjąć i przyjmowaliśmy, że ci przestępcy popełnili swe przestępstwa **mimo** tego, że byli duchownymi.

Artykuł „Tygodnika Warszawskiego" wnosi nowy akcent w dotychczasową sytuację.

Chcemy powiedzieć jedno:

Nie ma i nie będzie w Polsce walki z religią, walki z Kościołem. Nie ma jej i nie będzie, bo tej walki nie chce obóz demokracji polskiej. Nie ma jej i nie będzie, bo taka walka byłaby szkodliwa dla narodu polskiego.

Ale nie ma też i nie będzie takiej sytuacji w Polsce, w której ktokolwiek mógłby bezkarnie nawoływać do zbrodni, szczuć do wojny domowej w kraju, pochwalać reakcyjnych skrytobójców. Nawet... jeśli ten ktoś nosi sukienkę duchowną, która powinna by mu — naszym zdaniem — dyktować wystąpienie przeciw skrytobójcom, a nie w ich obronie. Nawet... jeśli ten ktoś **nadużywa** do swej przestępczej roboty ambony kościelnej, przeznaczonej — o ile nam wiadomo — do głoszenia miłości bliźniego.

Rok 1946, to nie rok 1922. O tym radzimy pamiętać panu M. H. z „Tygodnika", piszącemu cynicznie: „Nie ma dymu bez ognia", wtedy, kiedy wpierw było kazanie, a tuż po nim dym z lufy skrytobójczej broni.

Roman Łysiak

Mądrze, rzetelnie i śmiało

wzywał ZSRR do przymierza przeciwko wojnie

Wystąpienie min. Noel Backera na komisji politycznej ONZ

NOWY JORK, 17.11. (PAP). Komisja polityczna Generalnego Zgromadzenia Narodów Zjednoczonych dyskutowała sprawę veta na dwóch sobotnich posiedzeniach.

Na sesji wieczornej przemawiali przedstawiciele: Kanady — Louis St. Laurant, Wielkiej Brytanii — Philip Noel Backer i Norwegii — Halvard Lange.

Stwierdzając, że okres roczny jest zbyt krótki, aby ocenić wartość Karty Narodów Zjednoczonych, przedstawiciel Kanady wypowiedział się przeciwko jakimkolwiek zmianom Karty ONZ i wyraził nadzieję, że w przyszłości veto będzie stosowane z umiarem i jedynie w interesie ONZ jako całości.

Przedstawiciel Wielkiej Brytanii, jako czwarty z kolei przedstawiciel państw, należących do Wielkiej Piątki, po delegatach Stanów Zjednoczonych, Związku Radzieckiego i Chin, wypowiedział się również przeciwko wprowadzeniu zmian do Karty Narodów Zjednoczonych.

„Pierwszym i głównym motywem — powiedział Noel Backer — dla którego zmiana Karty jest niepożądaną, jest fakt, że koledzy radzieccy nie życzą sobie, abyśmy wstępowali na tę drogę. Sądzę, że byłoby niewłaściwe nieuwzględnianie ich życzenia. Słuszne jest brać pod uwagę poglądy czołowych członków tej nowej wielkiej organizacji".

Przedstawiciel Wielkiej Brytanii poparł wniosek francuski, aby przed otwarciem dyskusji na Radzie Bezpieczeństwa dokonano wszystkiego, aby osiągnąć porozumienie w spornej sprawie.

Noel Backer przedstawił następnie nieskuteczność działania Ligi Narodów w walce o pokój. „Jestem głęboko przekonany — powiedział Noel Backer — że Liga Narodów zdołałaby zapobiedz wojnie, gdyby jej czołowi członkowie zgodzili się na wnioski, wysuwane tak często przez Związek Radziecki.

Przedstawiciele Związku Radzieckiego mądrze, rzetelnie i śmiało nawoływali do sprzymierzenia się przeciwko wojnie. Radziecki wiceminister spraw zagranicznych Andrzej Wyszyński oświadczył, że Związek Radziecki dąży do pogłębienia współpracy międzynarodowej. Ja oświadczam to samo w imieniu Zjednoczonego Królestwa".

W poniedziałek dalszy ciąg dyskusji.

Ostatnie wiadomości

NOWY JORK. — Przedstawiciele pięciu Wielkich Mocarstw odbędą w poniedziałek, dnia 18 bm., ściśle tajne posiedzenie na temat prawa „veta".

KOPENHAGA. — Parlament duński ratyfikował duńsko - radziecką umowę handlowo - nawigacyjną. Zawarcie umowy zostało przyjęte z zadowoleniem przez wszystkie warstwy ludności w Danii.

RZYM. — Robotnicy przemysłu włókienniczego w Mediolanie rozpoczynają strajk w dniu 18 bm., wobec nieotrzymania odpowiedzi na żądania, wysunięte w sprawie podwyżki płac i polepszenia warunków pracy.

Brunatna bestia podnosi głowę

Niemcy odpowiadają terrorem na denazifikację

NOWY JORK, 17.11. (PAP). — „New York Post" donosi z Frankfurtu nad Menem, że Niemcy rozpoczęli akcję terrorystyczną przeciwko przeprowadzaniu denazifikacji.

Dziennik dodaje, że przedstawiciele rządów prowincji znajdujących się na terenie amerykańskiej strefy okupacyjnej nie są w tej sprawie bez winy. Ostatnio, premier Wirtembergii i Badenii, Reinhold Maier, oświadczył, że Amerykanie chcieliby ukarać więcej Niemców niż jest winnych.

Maier odpowiadając na zarzuty postawione sądom denazifikacyjnym przez generała Lucjusa Clay'a powiedział, że oświadczenie Clay'a zostawiło wśród Niemców wrażenie, jakoby denazifikacja nigdy nie miała się skończyć.

Niech z ambon rozlegnie się głos potępienia dla bratobójców!

Deklaracja Koła Posłanek do KRN

Jesteśmy do głębi wstrząśnięte zbrodnią, którą poddajemy pod sąd uczciwego i zdrowego sumienia publicznego.

S. p. Stefania Roszkowska to dziecko wsi, które jak tysiące innych z jej środowiska daremnie w czasach przedwrześniowej Polski marzyła o szkole i zawodzie nauczycielskim. Z wielkim trudem ukończyła pierwszy rok seminarium nauczycielskiego, ale bieda rodziców zmusiła ją do porzucenia szkoły i podjęcia skromnej pracy zarobkowej w biurze.

Wyrosła w niedostatku, rozumiejąca borykanie się i kłopoty swych sióstr— kobiet swego środowiska, wraca doń, aby doświadczeniem, radą i miłością ulżyć doli i pomóc takim, jak jej własna matka. W życiorysie ś. p. Stefania Roszkowska pisała prosto: „Pracuję w charakterze instruktorki powiatowej, oddana jestem sercem społeczeństwu".

Wierne chłopskie serce wróciło do własnego gniazda. Roszkowska kobietom rodzinnej wsi pomagała radą wychowywać dzieci, pielęgnować chorych, organizować pracę w obejściu, by ulżyć najcięższej z ciężkich dolikobiety wiejskiej.

Nie bała się nieufności według przysłowia, że „nikt nie jest prorokiem we własnym kraju" — zdołała skupić wszystkie kobiety w Łubnie w Kole Ligi, będąc swojaczką, która życiem i pracą pokrywała słowa.

Stefania Roszkowska jest w nowym wydaniu „Siłaczką" — skromną nauczycielką, o której pisał Żeromski. Tylko, że to już nie panienka z miasta, ale CÓRKA WSI, Z NIĄ ZROSŁA, JEJ ODDAJĄCA TRUD I ŚWIATŁĄ POMOC.

Za to właśnie, że wraz z całą zorganizowaną gromadą kobiecą dźwigała i ulepszała życie wsi, stała się nienawistną dla tych, którzy pragną zepchnąć wieś z drogi postępu i za wszelką cenę utrzymać ją w uległym jarzmie ciemnoty. Została przez bandytów uprowadzona, osierocając dwoje drobnych dzieci.

Morderstwo kobiety - matki, wiejskiej społecznej pracownicy, dowodzi, że „patrioci" z lasu nie mogą znieść, iż w Polsce, która buduje się nie według ich politycznych wzorów — dzieci będą się rodzić i wychowywać w zdrowych warunkach, że życie dzieci ludu staje lepsze i piękniejsze.

Opluwają wszystko, co tworzą inni; nie w smak im wszelkie poczynania; oni dziś potrafią już tylko mordować tych, co twórczym czynem stabilizują życie w kraju.

W obliczu tak potwornego zdziczenia, które godzi w moralne podstawy narodu, wszystkie kobiety polskie zjednoczą się dla obrony najświętszych praw kobiety - obywatela.

Nie możemy pogodzić się z myślą, że zachętą do zbrodni stały się słowa proboszcza z Łubina, wymierzone przeciwko organizacji kobiecej. Słowa, które padły z ambony, a które szerzą nienawiść, nie są słowami uczniów Mistrza, który głosił miłość i obowiązek pomocy bliźniemu.

Jeśli z ambon nawołuje się: „A kto nie jest posłuszny słowu naszemu... tego sobie zaznaczcie..." to nic dziwnego, że tacy, którzy wszelkie braterskie więzy z ludźmi pokoju zerwali, na swój sposób zaznaczają przeciwników.

Kobiety, towarzyszki pracy zamordowanej piszą, że „Roszkowska Stefania osierociła dwoje dzieci, pozostawiając je sumieniu społeczeństwa". Jeśli list pasterski ostatnio wydany głosi, że „Kościół jest kierownikiem sumień ludzkich", to wierzymy, że z ambon kościelnych rozlegnie się głos potępienia i upomnienie przeciwko bratobójstwu.

Za wiele jest już w Polsce sierot po ludziach, niosących oświatę i pokój, broniących porządku i ładu. Stwórzmy wspólny front przeciwko szerzycielom zamętu i zbrodni.

KOŁO POSŁANEK
do Krajowej Rady Narodowej

Świat w ciągu doby

Rozmówki o „veto"

W zgromadzeniu Narodów Zjednoczonych rozpoczęły się znowu dyskusje na temat prawa „veto". Chodzi o prawo wielkich mocarstw zaprotestowania przeciwko każdej decyzji Rady Bezpieczeństwa, zastrzeżone w Karcie Narodów Zjednoczonych. Prawo to nakłada na Radę obowiązek osiągnięcia w każdej konkretnej sprawie porozumienia pomiędzy wielkiemi mocarstwami.

Mówi się już — i będzie się mówiło w przyszłości — niezwykle wiele na temat rzekomo niezbyt demokratycznego charakteru tego prawa. Ale ten niby demokratyczny piasek, sypany w oczy przypadkowych słuchaczy i widzów, nie może zasłonić przed nami rzeczywistego problemu, jaki związany jest z prawem „veta".

Faktem jest, że w tej chwili znaczna część świata opanowana jest przez siły reakcyjne, wielkokapitalistyczne, zmierzające do wykorzystania Organizacji Narodów Zjednoczonych dla swoich celów. „Dyplomacja dolarowa" pozwala tym siłom wywierać nacisk na inne, mniejsze państwa. W Paryżu np. w sprawie Triestu czy Dunaju najbardziej żołądkowali się przedstawiciele Australii i niektórych republik południowo - amerykańskich. Co tym państwom może zależeć na sutsznym uregulowaniu spraw europejskich? Prawo „veta" uniemożliwia takie zmajoryzowanie państw europejskich przez różne Republiki Haiti czy Guatemali.

Co to znaczy z naszego polskiego punktu widzenia, uzmysłowi nam jeden przykład. Wiadomo, że pp. Bevin i Byrnes dosyć chłodno odnoszą się do sprawy naszych granic zachodnich. Wiadomo, że Niemcy są dostatecznie bezczelni, aby w tej sprawie zgłaszać się ze wszelkimi pretensjami do Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ale wiadomo także — stwierdził to i Generalissimus Stalin i minister Mołotow — że Związek Radziecki stoi kategorycznie na stanowisku, nienaruszalności naszych granic na Odrze i Nisie Łużyckiej. Prawo „veta" Związku Radzieckiego nie pozwala na rozpatrywanie wszelkich pretensji niemieckich przez Narody Zjednoczone. Nie trzeba chyba wskazywać, jakie znaczenie posiada ten fakt dla Polski.

Rząd Rzeczypospolitej całkowicie słusznie przeciwstawia się wszelkiej rewizji prawa „veta", chroniącego istotne interesy Polski w dziedzinie polityki międzynarodowej.

Reakcja amerykańska chce wygłodzić Europę

Pisaliśmy już o „dyplomacji dolarowej", o odmówieniu kredytów Czechosłowacji i innym demokratycznym krajom europejskim. Okazuje się jednak, że także wasale anglosaskiego wielkiego kapitału nie bardzo mogą liczyć na pomoc „Wujaszka Sama". Zwycięstwo partii republikańskiej w Stanach rozzuchwaliło najbardziej reakcyjne, najbardziej egoistyczne i tępe elementy wśród magnatów finansowych Stanów.

W Waszyngtonie toczą się pertraktacje w sprawie pomocy żywnościowej dla Grecji, Włoch i Austrii — a więc krajów okupowanych przez anglosasów. Jak oświadczają w kołach Departamentu Stanu należy liczyć się z tym, że nowa większość w Kongresie i Senacie będzie się sprzeciwiała asygnowaniu jakichkolwiek poważniejszych funduszów na ten cel. Stany Zjednoczone nie przystąpią do planowanej Organizacji Pomocy dla krajów zniszczonych przez wojnę, która miała zastąpić UNRRA.

Takie stanowisko dyplomacji amerykańskiej wynika z dwóch przyczyn.

Po pierwsze wielki kapitał amerykański chce dać jak najmniej, a dając, wziąć za to jak najwięcej.

Dostarczając Czang - Kai - Szekowi broni dla walki z ruchem demokratycznym w Chinach, Ameryka równocześnie każe sobie płacić otwarciem drzwi dla zbytu wyrobów przemysłowych amerykańskich w Chinach. W rezultacie — musiało zaprzestać pracy około trzy czwarte przemysłu stworzonego w Chinach w czasie wojny.

W Europie trudno liczyć, by któryś z krajów — nieokupowanych zgodził się bez oporu na takie samobójstwo gospodarcze. Stąd konieczność wzmożonego nacisku — mówiąc poprostu: szantażu.

Po drugie: taka polityka wytwarza brak produktów na rynkach europejskich i zmusza kraje głodujące do płacenia wszelkich cen za amerykańską żywność. Trusty amerykańskie zrobiły już znakomity interes na wojnie, chcą teraz zrobić jeszcze lepszy na trudnościach żywnościowych, na głodzie i nędzy, panujących w Europie.

Ta polityka amerykańskich republikanów może doprowadzić do poważnych trudności gospodarczych i politycznych w świecie.

3-letni plan szkolenia fachowców

Przemysł otrzyma 200.000 wykwalifikowanych robotników

Zakończenie obrad okresowej konferencji szkolenia zawodowego

W Warszawie zakończyła swe obrady 3-dniowa okresowa konferencja szkolenia zawodowego, zorganizowana przez Ministerstwo Przemysłu. Zasadniczym tematem tej konferencji był 3-letni plan szkolenia zawodowego, opracowany ostatnio przez Dep. Kadr Min. Przemysłu.

Narodowy Plan Odbudowy Gospodarczej wymaga dostarczenia dla przemysłu prawie 200.000 wykwalifikowanych robotników, 11 tysięcy mistrzów, 8 tysięcy techników. Wobec znacznego ubytku ludności polskiej w czasie okupacji oraz zahamowania dopływu fachowców, spowodowanego ograniczeniem przez okupanta nauki zawodu — ilość sił fachowych, stojących do dyspozycji przemysłu jest znikoma.

Obecnie przemysł państwowy realizuje hasło, rzucone przez min. przemysłu, H. Minca na II Zjeździe Przemysłowym Ziem Odzyskanych we Wrocławiu, by każdy zakład, liczący ponad 200 robotników — stał się jednocześnie szkołą. Jak w praktyce wygląda osiągnięcia przemysłu w zakresie szkolenia zawodowego?

Według stanu na 1 listopada br., ogółem istnieje już 175 szkół przemysłowych z 17 tysiącami uczniów oraz 161 szkół dokształcających z 16.500 uczniami, ponadto zaś 11 liceów i dwa technikum.

Najwięcej szkół posiada przemysł metalowy (55) oraz hutniczy i włókienniczy — po 21. Szkół dokształcających prowadzi najwięcej przemysł włókienniczy (67), węglowy (38) i hutniczy (24).

Jeżeli chodzi o kursy, mające na celu przygotowanie w możliwie krótkim czasie ludzi wyszkolonych fachowo, to spośród zakończonych dotychczas kursów Min. Przemysłu — najwięcej przypada na przemysł węglowy — 137, hutniczy — 55, włókienniczy — 50 i energetyczny — 33. Na wszystkich tych kursach przeszkolono z górą 10 tysięcy uczniów.

Ponadto czynnych jest obecnie ok. 220 kursów z ilością ponad 7 tysięcy słuchaczy. Przoduje przemysł włókienniczy, węglowy i energetyczny.

Stosunkowo najskromniejsze osiągnięcia posiada w dziedzinie szkolenia zawodowego przemysł papierniczy, drzewny, zbrojeniowy, skórzany, paliw płynnych i cukrowniczy.

Na okres 3-letni planuje się powołanie do życia jeszcze ok. 600 szkół przemysłowych. Wymagać to będzie poważnego wysiłku finansowego. Obecnie wszystkie centralne zarządy przemysłowe wydają rocznie ok. 850 mil. zł na cele szkolenia zawodowego dla swoich potrzeb. W roku 1947 suma ta wzrośnie wg preliminarza do 2.700 milionów; odpowiednio wysokie będą sumy, zapianowane na lata następne.

Poważną trudnością, stojącą na przeszkodzie w realizacji tych zamierzeń, jest konieczność pozyskania wielotysięcznej rzeszy młodzieży, która miałaby pójść po linii kształcenia zawodowego z tym, by po jego ukończeniu pozostać w danych warsztatach pracy.

Odpowiedniego elementu szukać musi przemysł zarówno wśród młodzieży miejskiej, jak też i wiejskiej oraz — reemigrantów, m. in. z Francji, skąd przybyć ma większa ilość rodzin górniczych.

Inną, niemniej ważną trudnością, jest brak fachowych sił nauczycielskich.

Nie ulega wątpliwości, że mimo znanych trudności, droga, obrana przez Ministerstwo Przemysłu dla zapewnienia sobie kadr wykwalifikowanych robotników, mistrzów i techników, droga szerokiej rozbudowy własnej sieci szkolnictwa zawodowego — przyniesie spodziewane rezultaty i rzetelnie przyczyni się do realizacji 3-letniego P. O. G.

Akcja szkolenia fachowców ma dać w okresie 3-letnim około 200.000 ludzi wyszkolonych. Skąd oczekuje przemysł napływu odpowiedniego elementu?

Poważnym źródłem powinna być wieś. Pierwsze próby werbowania do szkół przeprowadzono w br. Umieszczono tę młodzież w większych grupach w szkołach przemysłowych. W roku 1947 przewiduje się większą akcję w tym kierunku.

Specjalną uwagę zamierza zwrócić przemysł na zatrudnienie dziewcząt. Jeszcze w okresie zimy uruchomione będą nowe specjalne kursy dla kobiet, kształcące specjalistki w dziedzinie spawania, kursy dla laborantek chemicznych itd. Największą ilość dziewcząt zatrudni oczywiście przemysł włókienniczy, prowadzący dla nich szereg specjalnych kursów przysposobienia przemysłowego.

Przed wojną cały przemysł polski zatrudniał ok. 11.000 młodocianych (w wieku lat 16 — 17 i wyżej) przy 760.000 młodzieży rocznie, kończącej 15 lat. Dziś przemysł Ministerstwa Przemysłu zatrudnia już ok. 100.000 młodocianych.

Przed wojną, oprócz ok. 1 miliona oficjalnych bezrobotnych — były olbrzymie masy tzw. „zbędnych". Szacowano ich w 1938 r. na ok. 9 milionów ludzi. Była to oczywiście młodzież, która nie znajdowała dla siebie pracy, „wisiała" przy warsztatach pracy swoich rodziców lub w ogóle była bez zajęcia.

W samym tylko górnictwie kilkadziesiąt tysięcy takiej młodzieży, w najlepszym razie eksploatowało „biedaszyby". Dziewczęta jako najtańsza siła robocza, używane były do wszelkiego rodzaju posług i tak np. 55 proc. rocznika dziewcząt 15-letnich pracowało jako „służba domowa".

Obecnie szkolnictwo zawodowe dopasowywane jest w ten sposób, by ta olbrzymia ilość marnującej się energii ludzkiej — była należycie wykorzystana. Przy obecnych stosunkach małych roczników młodzieży da się to dość łatwo osiągnąć w najbliższych 1 — 2 latach.

W Nowym Jorku oczekują

konkretnych propozycji Mołotowa

w sprawie rozbrojenia powszechnego

NOWY JORK, 17.11 (PAP). W kołach politycznych rozeszła się wiadomość, że radziecki minister spraw zagranicznych Mołotow, występując z wnioskiem w sprawie rozbrojenia na plenarnym posiedzeniu Generalnego Zgromadzenia ONZ zajmie prawdopodobnie podjęcie pierwszych konkretnych kroków w tym kierunku. Według przypuszczeń obserwatorów politycznych, sprawą rozbrojenia zajmie się komisja rzeczoznawców przy Radzie Bezpieczeństwa łącznie z komisją sztabu wojskowego.

Jak wyraził się rzecznik departamentu stanu USA, wniosek w sprawie rozbrojenia jest dyskutowany w Waszyngtonie w świetle „możliwości technicznych". Delegacja amerykańska przygotowuje szereg poprawek do wniosku ministra Mołotowa.

Bułgaria broni się

przed zakusami greckimi

WASZYNGTON, 17.11 (PAP). Szef misji bułgarskiej w Stanach Zjednoczonych, generał Stojczef przedstawił Radzie Ministrów Spraw Zagranicznych dwa memoranda.

Pierwsze z nich zawiera wyjaśnienie, że Bułgaria nie jest w stanie zapłacić 125 milionów dolarów reparacji, gdyż suma ta przekracza wszelkie możliwości finansowe Bułgarii.

Drugie memorandum jest odpowiedzią na oświadczenie greckie o konieczności „wyrównania" granic kosztem Bułgarii. Memorandum podkreśla, iż roszczenia Grecji nie są uzasadnione względami bezpieczeństwa, na które rząd grecki powołuje się.

Wielka Czwórka osiągnęła porozumienie

w sprawie kompetencji gubernatora Triestu

Poprawki min. Mołotowa zostały przyjęte

NOWY JORK, 17.11 (PAP). — W sobotę, dnia 16 bm. Rada Ministrów Spraw Zagranicznych odbyła w hotelu Waldorf drugą sesję informacyjną. Na sesji tej omawiano francuski projekt dotyczący uprawnień gubernatora Triestu.

Ministrowie doszli do porozumienia co do wszystkich ważnych punktów dotyczących kompetencji gubernatora i policji triesteńskiej. Kilka mniej ważnych punktów przekazano zastępcom dla poczynienia drobnych zmian.

Ośrodkiem dyskusji był projekt przedstawiciela Francji, Couve de Murville.

Projekt francuski ma brzmienie następujące:

1) Szef policji triesteńskiej mianowany jest i zwalniany przez gubernatora w porozumieniu z rządem Wolnego Obszaru Triestu. (Sprawę tę przekazano zastępcom ministrów).

2) Wyżsi urzędnicy policyjni wyznaczani są i zwalniani przez szefa policji (Punkt przyjęty).

3) Szef policji podlega rządowi i wykonywa swe obowiązki zgodnie z jego poleceniami. (Punkt uzgodniony po wycofaniu zastrzeżeń Bevina).

4) Szef policji składa regularnie raporty gubernatorowi, informując go o wszelkich otrzymanych instrukcjach. (Punkt uzgodniony).

5) Gubernator ma prawo veta we wszystkich sprawach dotyczących poszanowania statutu Triestu, praw człowieka oraz porządku publicznego. (Mołotow zaproponował tu poprawkę, aby gubernator stosował prawo veta w tych wypadkach po konsultacji z rządem. Poprawkę tę przyjęto).

6) W razie szczególnej potrzeby gubernator może przejąć władzę nad policją. (Mołotow zauważył tu jedynie, iż prawo to powinien wykorzystywać jedynie w wypadkach „najbardziej nagłej potrzeby", co również przyjęto po krótkiej dyskusji).

Przed zakończeniem posiedzenia Mołotow przedstawił wnioski co do ustroju gospodarczego Triestu. Jednakże ministrowie nie mogli się z nimi zapoznać, ponieważ nie zostały one przetłumaczone.

Pierwsze demokratyczne wybory w Rumunii

na 414 foteli poselskich zgłoszono 3200 kandydatów

BUKARESZT, 17.11. (PAP). — Minister spraw wewnętrznych Rumunii Georgecu wygłosił na konferencji prasowej, zorganizowanej dla dziennikarzy zagranicznych przemówienie, w którym powiedział m. inn.:

Dnia 19 listopada naród rumuński wybierze swych przedstawicieli do parlamentu. Wybory będą przeprowadzone na podstawie nowej, demokratycznej ordynacji wyborczej, która wprowadza po raz pierwszy powszechne prawo głosowania.

Wszystkie partie polityczne rządowe i opozycyjne korzystają z pełnej swobody prowadzenia akcji wyborczej.

Na 414 deputowanych zgłoszono łącznie 3.200 kandydatów należących do 20 organizacji politycznych.

Kampania wyborcza odbyła się w warunkach całkowitego porządku i swobody.

Postępowe koła w USA

popierają wniosek Polski w sprawie Franco

NOWY JORK, 17.11. (PAP). — Amerykański Komitet Wygrania Pokoju skierował do Generalnego Zgromadzenia ONZ depeszę, w której zwraca uwagę na wzrost terroru w Hiszpanii i stwierdza, że propozycja postawiona przez delegację polską o zerwanie stosunków dyplomatycznych z Hiszpanią, przyjęta została z zadowoleniem przez całą postępową część społeczeństwa amerykańskiego.

Komitet wzywa Narody Zjednoczone by przyjęły rezolucję polską. Na czele komitetu stoi generał Evans Carlsen znany w Stanach Zjednoczonych z okresu bohaterskich walk z Japończykami na Pacyfiku.

Najazd „turystów" angielskich na Iran

Interesują ich szczególnie okolice źródeł naftowych

MOSKWA, 17.11. (PAP). — Agencja Tass przytacza za dziennikiem „Irane Ma" dane irańskiego urzędu celnego za czas od 25.III.1945 r. do 21.III.1946 r. dotyczące ruchu turystycznego.

Na 9.166 cudzoziemców, którzy przybyli do Iranu było 7.236 Anglików. Zgodnie z danymi rządowymi — 3.600 Anglików przybyło w tym czasie do Iranu jako turyści, jednakże jedynie 143 zakończyło dotychczas swe wycieczki, reszta widocznie nadal je uprawia, przede wszystkim w zachodnim i południowym Iranie i w górskich okolicach Szirazu.

Dziennik podkreśla, iż dane te dotyczą jedynie tych „turystów", którzy przekroczyli granice irańskie legalnie.

Nawet koledzy partyjni Tsaldarisa

domagają się dopuszczenia opozycji do rządu

NOWY JORK, 17.11 (PAP). „New York Times" donosi z Aten, że 16 członków parlamentu greckiego w tym 9 z partii populistów Tsaldarisa wystąpiło z żądaniem utworzenia w Grecji rządu koalicyjnego do którego weszliby przedstawiciele lewicowej opozycji.

Z podobnymi żądaniami stworzenia koalicyjnego rządu wystąpił również wpływowy związek urzędników państwowych. Żądania te łączy dziennik amerykański z sytuacją polityczną, panującą od dłuższego czasu w kraju.

Tsaldaris odbył szereg konferencji z członkami rządu w sprawie zaostrzenia środków przeciwko akcji oddziałów ludowych.

Sądy denazifikacyjne w Niemczech

łowią „płotki" a przepuszczają „grube ryby"

BERLIN, 17.11. (PAP). — „Neues Deutschland" zamieszcza wiadomość o przebiegu wiecu zorganizowanego przez partię komunistyczną w Monachium w rocznicę rewolucji w Niemczech.

Zebrało się 15.000 demonstrantów, na wiecu przemawiał minister Schmidt, który [illegible] na temat denazifikacji.

Schmidt podkreślił wpływ jaki wywarło na sądy denazifikacyjne uniewinnienie Schachta i Papena

tię ludową o nieudolność w przeprowadzaniu denazifikacji.

Prowadzona w tej dziedzinie akcja ogranicza się do łowienia „płotek", a przepuszczania „grubych ryb".

Walny zjazd CIO

rozpocznie dziś obrady

NOWY JORK, 17.11. (PAP) Obradujący nad sprawami przedzjazdowymi komitet wykonawczy kongresu Związków Robotników Przemysłowych (CIO) powołał specjalną komisję sześciu, w celu przygotowania wspólnego programu dwóch kierunków, jakie zaznaczyły się ostatnio w CIO.

Walny Zjazd CIO rozpoczyna swe obrady w poniedziałek 18 bm.

Policja irańska

strzela do robotników

MOSKWA, 17.11. (PAP). — Agencja Tass donosi z Teheranu za lokalnymi pismami, że w czasie strajku kolejarzy na wiec robotników napadło 200 członków tzw. „partii demokratycznej" wspólnie z policją, która użyła broni palnej. Aresztowano przewodniczącego związku zawodowego kolejarzy i szereg robotników.

Terror w Palestynie

TEL AVIV, 17.11. (PAP). Terroryści palestyńscy dokonali zamachu na pociąg towarowy w drodze do Egiptu. Pociąg ten został wysadzony w powietrze na trasie Lydda — Gaza. Detonację słychać było w promieniu 10 mil. Jeden z wagonów został kompletnie zniszczony, 8 wykoleiło się. Ofiar w ludziach nie było.

Norweska delegacja handlowa

wyjechała do Moskwy

OSLO, 17.11. (PAP). — W niedzielę dnia 17 bm. udała się do Moskwy delegacja handlowa złożona z 15 członków pod przewodnictwem norweskiego ministra odbudowy Osca Torp. Delegacja ta podpisze w Moskwie układ handlowo - finansowy pomiędzy Związkiem Radzieckim i Norwegią.

Spekulanci zostaną usunięci

z obozów deportowanych

NOWY JORK, 17.11. (PAP). — Naczelny dyrektor UNRRA, Fiolerro la Guardia, opublikował tekst depeszy, wysłanej do europejskiego dyrektora UNRRA w Londynie, generała sir Humprey Gale. Depesza ta zawiera polecenie, aby „displaced persons" zajmujących się spekulacją na czarnym rynku natychmiast pozbawiać przysługujących im praw, i w porozumieniu z właściwymi władzami wojskowy mu usuwać z obozów dla deportowanych.

Zgon redaktora Wolffa

W dn. 17 bm. zmarł w Warszawie, po długiej chorobie zastępca redaktora naczelnego „Expressu Wieczornego" red. Witold Wolff.

Złoto, dolary, ruble, skóra na tony

Bilans prac łódzkiej Komisji Specjalnej

Rok intensywnej pracy łódzkiej Delegatury Komisji Specjalnej dał bardzo interesujące wyniki. Nie będziemy tu wspominać afer tego rodzaju, jak sprawa osadzonego obecnie na dwa lata w obozie w Jaworznie, b. kierownika wojewódzkiego wydziału do spraw żywnościowych, Bira, który dopuścił się milionowych nadużyć.

Ogółem w przeciągu roku Delegatura rozpatrzyła 1200 spraw, z czego 58 przekazano prokuraturze. Na 400 aresztowanych 104 przesłano do obozu pracy. Reszta bądź czeka jeszcze na sprawę, bądź też została przekazana innym organom.

W wyniku rewizji u osób podejrzanych skonfiskowano: 5 kg złota i biżuterii, 6 milionów złotych, 4.500 dolarów, 1.500 rubli złotych itd. Prócz tego 3,5 tony skóry oraz większą ilość ubrań, materiałów tekstylnych itp. Złoto i waluta zostały złożone w bankach, zaś przedmioty codziennego użytku za pośrednictwem Urzędu Likwidacyjnego rozprzedane ludziom pracy.

Jedną z najważniejszych akcji społecznych Komisji jest stała walka z drożyzną. Tu jednak na przeszkodzie stoi mała ilość personelu i, co za tym idzie, niemożliwość regularnego przeprowadzania kontroli. Jest jednak nadzieja, że w najbliższym czasie Delegatura rozrośnie się do takich rozmiarów, że przy czynnym współudziale społeczeństwa, będzie mogła sprostać temu zadaniu.

80.000 Polaków z Francji powróci w 1947 roku do ojczyzny

PARYŻ, 17.11. (PAP). W najbliższych dniach będzie podpisana polsko - francuska umowa repatriacyjna na rok 1947.

Umowa przewiduje repatriację 17.000 Polaków wraz z rodzinami. Mianowicie 8 tysięcy górników, 6 tysięcy robotników rolnych, 1 tysiąc robotników budowalnych i przemysłowych, oraz 2 tysiące rzemieślników, kupców i inn.

W przeciwieństwie do umowy z roku 1946, która przewidywała jedynie powrót górników pracujących pod ziemią — umowa na rok przyszły obejmuje również górników, pracujących na powierzchni ziemi.

W ciągu lutego i marca przyszłego roku powrócą do Polski 3 tysiące rolników. Poczynając od 1 kwietnia do września będą repatriowani górnicy i robotnicy przemysłowi, wreszcie jesienią powróci drugi kontyngent rolników.

Ogółem powróci do kraju około 80 tysięcy Polaków, przebywających we Francji w okresie przedwojennym.

Umowa przewiduje ułatwienia transportowe dla wyjeżdżających, ograniczenia formalności wizowych dla repatriantów opuszczających Francję transportami zorganizowanymi przez władze polskie.

Reemigranci będą mogli zabrać ze sobą cały dobytek i oszczędności.

Umowa gwarantuje robotnikom prawo do rent nabytych z tytułu ubezpieczeń społecznych. Polsko - francuskie komisje lekarskie stwierdzać będą ewentualny procent utraty zdolności do pracy robotników opuszczających Francję.

Mieszana komisja polsko - francuska regulować będzie wszystkie sprawy, związane z repatriacją. W skład komisji wejdą przedstawiciele zainteresowanych ministerstw francuskich, ambasady polskiej w Paryżu oraz czynnik społeczny reprezentowany ze strony francuskiej przez przedstawicieli Generalnej Konfederacji Pracy (OGT) a ze strony polskiej przez przedstawicieli Rady Narodowej Polaków we Francji, Sekcji Polskich OGT oraz związku osadników i robotników rolnych.

Natychmiast po podpisaniu umowy sekretariat komisji mieszanej rozpocznie przyjmowanie zgłoszeń na wyjazd do Polski.

Zwyżka cen w USA sięga 50 proc.

Samochody General Motors podrożały o 100 dol.

NOWY JORK, 17.11 (PAP). Po zniesieniu kontroli cen w Stanach Zjednoczonych — ceny hurtowe i detaliczne podskoczyły natychmiast. Niektórzy fabrykanci podnieśli ceny o 50 proc.

General Motors podwyższył ceny na swe samochody o 100 dolarów. International Harvester Company podniosło ceny na maszyny rolnicze o 9 proc. Również podrożały artykuły elektrotechniczne. Koncern Dupenta podniósł ceny o 15 — 20 proc. Podrożały również niektóre metale.

Minister wyżywienia W. Brytanii

o sytuacji żywnościowej w Anglii

LONDYN, 17.11 (PAP). Minister wyżywienia W. Brytanii, John Strachey, w ostatnim swym przemówieniu stwierdził, iż sytuacja żywnościowa Wielkiej Brytanii jest bardzo poważna. Przypominając, iż w roku ubiegłym Wielka Brytania wysłała do zachodnich Niemiec 700.000 ton zboża minister stwierdził, iż obecnie wobec braku zapasów, taka pomoc jest [illegible]

Strachey podkreślił, iż oznaki poprawy sytuacji żywnościowej znikły po zniesieniu kontroli cen w USA.

Strachey stwierdził, że Amerykanie dokonali tego, czego w Wielkiej Brytanii domagali się konserwatyści. Wyniki nie dały długo na siebie czekać. Ceny w Ameryce podniosły się o 60 proc. — stwierdził Strachey. W Wielkiej Brytanii podniosły się o 200 lub 300 proc.

Gdybyś była sroczką, polującą
na ślimaki, myszy i owady,
wnet bym czarny i biały materiał
wyjęła dla ciebie z szuflady.
Uszyłabym ci płaszczyk z podszewką,
troszkę smutny płaszcz czarno-biały,
żeby cię w mroźnym lesie
wszystkie sroczki podziwiały.

Gdybyś była krokodylkiem,
co w rzece afrykańskiej żyje,
taki, jak dla krokodylków się szyje.
Byłby gruby, czarno nakrapiany,
jak to jest u krokodyli w modzie,
i mogłabyś w nim czyhać na zdobycz,
podstępnie ukryta w wodzie.

Gdybyś była paziem królowej,
latającym nad łąką motylkiem,
uszyłabym ci płaszczyk tęczowy,
ot taki, żeby starczył na chwilkę.
Mogłabyś w nim migać wśród kwiatów
w prześlicznej porze czerwcowej.
Gdybyś była małym motylkiem,
gdybyś była paziem królowej.

Gdybyś była rybką flądrką,
mieszkającą na dnie Bałtyku,,
pomyślałabym zaraz dla ciebie
o popielatym płaszczyku.
Nahaftowałabym na nim
plam czerwonych, jak ci wiadomo,
i mogłabyś śmiało w nim błądzić
pośród fali, wśród morza ogromu.
uszyłabym ci płaszcz brązowo-zielony,
Gdybyś była małym tygryskiem
z dalekich wysp, z Indii wschodnich,
płaszcz płowy, w ogromne pręgi
byłby dla ciebie wygodny.

Radabyś krążyć w nim w trzcinach,
w sitowiach, w starych zamków zwaliskach,
gdybyś była małym tygryskiem,
gdybyś miała płaszczyk tygryska.

Ale że ty jesteś dziewczynką,
drobniutką, z oczkami jak kwiatki,
więc uszyję ci płaszczyk niebieski,
jak te w zbożu niebieskie bławatki.
Przyczepię do niego guziczki,
trzy lub cztery w kolorze nieba,
i lepszego ci chyba płaszczyka,
droga Zosieńko, nie trzeba.

LUCYNA KRZEMIENIECKA

KĄCIK ROZRYWKOWY

CO BY BYŁO GDYBY...

Jest to przezabawna gra towarzyska dla większej ilości osób.

Dzieci sadowią się w dwa rzędy naprzeciw siebie. Każde z dzieci jednego rzędu zadaje pocichu jakieś pytanie swemu sąsiadowi z przeciwka, pytanie, zaczynające się od słów: — co by było gdyby... Np.; Co by było, gdyby w tej chwili wybuchł tu pożar? Dziecko zapytane odpowiada również na ucho: — Wszyscy ucieklibyw w popłochu. — Albo: Co by było, gdyby przyszedł tu jeszcze jeden gość. Odpowiedź: — Wszyscy bardzo by się ucieszyli.

Gdy już cały rząd zada pytania i otrzyma odpowiedzi (przy tym rząd, który był pytany musi dobrze pamiętać pytania, a rząd pytający — odpowiedzi), następuje zmiana miejsc, a raczej przesunięcia w tych samych rzędach, t. zn. nie wolno dzieciom przechodzić z jednego rzędu do drugiego, a tylko należy zmienić miejsce w tym samym rzędzie. W ten sposób na zadawane następujące pytania wypadną inne odpowiedzi, co często daje powód do szczerej wesołości i śmiechu

Np. dziecko z rzędu pytań zadaje — tym razem już głośno pytanie swemu sąsiadowi z przeciwka: — Co by było, gdyby w tej chwili wybuchł tu pożar? I otrzymuje odpowiedź: — Wszyscy ucieszyliby się ogromnie. Lub też; — Co by było, gdyby przyszedł tu jeszcze jeden gość? Odpowiedź:— Wszyscy uciekaliby w popłochu.

Pamiętam dobrze, że gdy zebrało się nas większe grono młodzieży, zawsze chętnie bawiliśmy się w „Pytania i opowiedzi", uważając tę grę za jedną z najweselszych i najzabawniejszych.

—oo—

ZAGADKI

1. Czasem latami stoi spokojnie,
   a czasem ogniem wybucha dużym,
   drżą wtedy z strachu ludzie, zwierzęta,
   bo wszystko wokół niszczy i burzy.

2. Pokrył białą pierzynką
   ogrody, pola, strzechy;
   będzie pyszna zabawa
   i będzie moc uciechy.

3. Co to za niecnota,
   zgaduj Olku, Władko;
   zerwał czapkę z głowy,
   chmur rozpędził stadko.

4. Może być w kawałku,
   może być i w płynie;
   może być też parą;
   ulecі i zginie.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Hanna Stronk z Wawru.

Cieszy nas, że każde słowo odpowiedzi sprawia Ci taką radość. Nie wydrukowaliśmy Twojego opowiadania o obozie harcerskim w Zielonce, gdyż jak sama zapewne spostrzegłaś, od dłuższego czasu nie drukujemy opowiadań dzieci z braku miejsca. Teraz, skoro numer został powiększony, będziemy mogli wykorzystać opowiadania przysyłane przez dzieci. Nie martw się, Haniu, z pewnością przeczytasz w druku to, co nam przysłałaś. I to co napisałaś o „naszej szkole" i tamto opowiadanie o obozie. Owszem, możesz przysłać bajeczkę dla młodszych dzieci, ale pamiętaj, żebyś sobie zostawiła odpis, gdyż Redakcja rękopisów nie zwraca.

Marysia Sołtysiak z Gdyni.

Dopominasz się o wzory zabawek na choinkę. Kupiłaś już nawet bibułki i robisz łańcuch, gdyż chcesz, aby Twój braciszek, Tadzio, miał „najcudniejszą choinkę". Brak Ci tylko dobrych pomysłów na zabawki, a chciałabyś mieć w tym roku „zupełnie nowe i ładniejsze od zeszłorocznych". Dobrze, Marysiu, — już niedługo znajdziesz wzory zabawek choinkowych w naszej gazecie. Napisz do nas, czy Ci się podobają i jak Ci się udała robota.

Nr. 47 (54)

ŚWIAT dzieci
DODATEK TYGODNIOWY GŁOSU LUDU

PRZYGODA

(Fragment powieści St. Żeromskiego p. t. „Popioły")

Dwudziesta jeden lat temu, 30 listopada 1922 roku, umarł jeden z największych polskich pisarzy, Stefan Żeromski. Prawdopodobnie mało jego rzeczy czytaliście, a może wcale, bo prawie wszystkie książki przed Niemcami zniszczone.

We wszystkich swoich powieściach, czy nawet krótkich opowiadaniach Żeromski przedstawia ludzi, którzy walczą z niesprawiedliwością, którzy walczą o lepszy, piękniejszy świat. Niżej drukujemy urywek z jednej z jego największych powieści historycznych „Popioły". Dzieje się to w okresie wojen napoleońskich. Dwaj późniejsi bohaterowie powieści Rafał Olbromski i Krzysztof Cedro, będąc jeszcze w szkole wybrali się wczesną wiosną na połajenną wycieczkę po Wiśle... A dalej czytajcie, jak to opisuje Żeromski.

Rafał znalazł łódź, która była widzieć przybijającą do brzegu, jeszcze raz rzucił okiem.

— Raz, dwa! — zakomenderował twórca wyprawy głosem nieswoim, surowym i z głębi piersi.

Światło, zapalone w jakimś oknie na górze miejskiej świeciło ich, łamiąc się i chwiejąc na wichrowatej fali ostrą iglicą. W tej szczelinie świetlistej wirzeli pierwszy raz dziką otchłań, z głuchym furkotem skamieniałe ciekącą.

— Raz, dwa — krzyczał Rafał ze wściekłością w głosie i namiętnym ukontentowaniem.

Drewniany statek leciał. Nie mogli już zawrócić jego dzioba, ani dokąd wola kierować. Z nagła zatoczył szalenie prędki krąg, garnąc ogonem świszczącą falę — i zwolnił biegu.

— Rafał, gdzie my jesteśmy? — cicho spytał Krzysztof —

— Ty zawsze masz zyskie pomysły co do pytań. Skądże ja mogę wiedzieć, gdzie my jesteśmy.

— Co to tak huczy?

— Woda.

— Patrzaj, a to co?

Obydwaj młodzieńcy żachnęli się w tył i ku obronie dźwignęli z wody wiosła. Krypka wolno poszła naprzód. Wtedy poznali, że są w koronie strzelistego drzewa, które widać woda wydarła z ziemi i zwaliła.

Odepchnęli się wiosłami łódź wolno, jak komięga ze zbożem, poszła tam, dokąd ją skierował, siekka tylko przez gościniec wodny unoszona w jakimś kierunku, różnym od poprzedniego. Było tam pełno kry, płynącej ospale, strzępy lodowej, kilka warstwami spiętrzonej. Rafał stanął w łodzi, rozstawił nogi, wsparł je na burtach i zaczął łódź huśtać. Krzyś rozumiał, że pragnie ją uchronić od oblepienia przez krę, ale truchlał na myśl o tym, gdzie się znajdują.

Płynęli tak długo.

Huk trzaskających wód, które się dokądś waliły z przerażającym łoskotem, zbliżał się ku nim. Szczęścia nich z nocy.

Wiosła ich niosły krę, rozganiały ją, z łoskotem tłukły się w niej, aż wreszcie tył łodzi twardo uderzył w coś nieruchomego.

— Czy to brzeg? — zapytał Krzysztof.

Rafał zmacał to miejsce wiosłem i znalazł, że to jest jednolity lód, zachowany przy brzegu. Mieli przed sobą otchłań głównego toru, dokoła stłuczoną krę.

Ręce ich ustały, były przemokłe do suchej nitki. Zziębli. Rozwarte szeroko oczy wlepiali w tę noc bez gruntu, ale nic dostrzec nie mogli.

— Stań w łodzi — rozkazał Rafał — a ja wyjdę na ten lód i zobaczę, czy brzeg daleko. Tu właśnie musi być zator. Bylibyśmy w takim razie u celu.

Krzyś z posłuszeństwem wykonał rozkaz. Uczuł, jak łódź gięła się, gdy Rafał z niej wyszedł, usłyszał szklisty szelest jego pierwszego kroku i pewny siebie głos:

— Chodź, lód twardy. Wyciągniemy barkę na brzeg. Ja już nie mogę robić wiosłami.

— Wyciągniemy łódź na brzeg i zostawimy ją tutaj — rzekł Olbromski — a sami pójdziemy piechotą. To jest lewy brzeg.

— Łódź nie jest nasza! — zawołał Krzysztof stanowczo. — Musimy ją odstawić na miejsce.

— A to ją odstaw. Z największą pochwałą akceptuję projekt.

— Moglibyśmy ją dociągnąć, idąc po brzegu.

—Możesz i to zrobić. Ja nie będę ciągnął.

— Cóż tu począć?...

— A to też to! Tu ją zostawimy. Powie się jutro rano przed lekcjami Bobrzykowi, da mu się na piwo.

— Ja mu zapłacę! Masz słuszność. Ja mu dam tyle, że będzie nawet zadowolony z tej afery.

— Właśnie ty mu dasz. I ja tak myślałem.

— No to ją tylko wyciągniemy na brzeg...

— Zaraz. Muszę nasamprzód zobaczyć, gdzie to jest ten brzeg.

Odszedł, brodząc po wodzie, która cienką warstwą stała na tym lodowisku, zmurszałym i przemoktym od długich deszczów. Gdy wrócił z wiadomością, że do brzegu będzie kilkadziesiąt kroków, ujęli obaj za łańcuch, przykuty do dzioba barki i zaczęli ją z całej mocy na lód windować. Poszło to z trudem, ale ostatecznie dało się wykonać. Czółno wsunęło się na pomost lodowy dość szynko

Zniechęcka Rafał zauważył, że jego nogi wolno zanurzają się w wodę. Przerażenie włosy mu zjeżyło na głowie, bo uczuł, że cała ta olbrzymia kra ugina się pod nim idzie na dno.

— Krzyś, uciekajmy! — wrzasnął na towarzysza i chciał go chwycić rękoma, ale dłonie jego objęły próżną ciemność.

Wzdęty bałwan wodny pchnął go w piersi i dokądś odtrącił. Cedro krzyknął nagle, a potem kilkakroć zabełkotał w wodzie. Rafał wpław rzucił się w to miejsce naoślep i złapał rękoma włosy i ramiona. Wywlókł go z fali i pchnął przed siebie jak drewno.

Ochynął się cały z głową. Poczuł jak tafle, domy, okruchy lodu obsiadają go ze wszech stron, z dołu, z boków, z góry, jak przystawiają do gardła ostrza swych krajów i garną się w usta. Płynąc w tym gęstym roztopie, uderzył ramieniem o łódź. Trzymając się jej burty lewą ręką, dowlókł Krzysia do caliźny lodowej i wwalił go na nią. Później sam się tam wczołgał i, leżąc na brzuchu, sunął po płaszczyźnie, która się uginała i zanurzała w wodzie.

— Cedro, zimno ci? — rzekł szeptem.

— Zimno.

— Musimy lecieć, bo zginiemy. Uciekajmy!

Rzucili się w zarośla wiklowe i poczęli wyżej kolan grzęznąc w rozkisłych bagnach nadbrzeżnych. Pręty smagały ich po twarzach, pniaki jakieś raniły nogi, ostre kije z kolkami rozdzierały ręce, ale po długiej męczarni uczuli, że niski ląd staje się coraz twardszy. Wreszcie wybrnęli i znaleźli się na pochyłych zagonach.

Dr J. Żabiński

KROKODYL

Było to b. dawno temu. Pewno z jakich 40 lat. Nie myślałem jeszcze wtedy, że zostanę kiedyś dyrektorem Ogrodu Zoologicznego i że będę hodował aligatory i krokodyle, ale już w klasie pierwszej gimnazjalnej, co odpowiadało mniej więcej dzisiejszej piątej powszechnej, przede wszystkim zajmowałem się zwierzętami, przyznam się, że nawet z uszczerbkiem innych lekcyj. Wtedy właśnie postanowiłem, że jak dorosnę będę przyrodnikiem i uważałem się już nawet za pewien autorytet w tej dziedzinie. Mój starszy kuzyn i nie doścignięty wzór, był bowiem już studentem przyrody na uniwersytecie w Krakowie, powiedział mi raz: „A jest jeden wierszyk przyrodniczy, którego nie znasz. Wiersz brzmiał:

Siedzi sobie ponad Nilem
Ptaszek, zwany krokodylem
I sziocha.
Wtem przychodzi małe jagnię,
Co się wody napić pragnie
I pyta:
Krokodylku, co to znaczy,
Że w twym oczku łza rozpaczy?
Coś świta...

Wierszyk ten, muszę się przyznać, zaniepokoił mnie. I niepokoił potem dość długo.

Nie myślicie chyba, iż byłem wtedy tak niemądry, aby nie rozumieć żartu, jednakże tutaj coś mi nie pasowało. Żywego krokodyla jeszcze nigdy nie widziałem, ale znałem go dobrze z obrazków i z fotografii. W żadnym przypadku nie był on nic a nic podobny do jakiegokolwiek bądź ptaka. Gdzież tu więc jest dowcip? Rozumiem, jeśliby ktoś stary samochód nazwał przez kpiny „pudłem", że to niby jest wielka skrzynia na kółkach, a więc jeśli źle jeździ rzeczywiście nie ma wiele lepszego zastosowania, aniżeli duże pudło do przechowywania gratów. Ale krokodyl i ptaszek, to tak jakby ktoś na samochód powiedział — lampa, albo szczotka do butów.

Tak samo i ta sprawa płaczu krokodyla nie podobała mi się, chociaż słyszałem już starszych, mówiących czasem o łzach krokodylich w tym znaczeniu, jeżeli ktoś robi pokryjomu krzywdę innym, a głośno i publicznie ubolewa nad swoimi własnymi ofiarami.

No więc to mogła być od biedy ironia. Najważniejsze zaś jednak, że wierszyk ten powiedział mi człowiek, który był wówczas dla mnie uosobieniem wszechmądrości przyrodniczych. Nie mogłem więc jakoś zakwalifikować tej poezji jako wierutnego głupstwa. Z drugiej strony rozumiecie dobrze, że duma nie pozwalała mi się zapytać wrecz, co należy o tym sądzić. Bo nuż miał to być tylko haczyk, abym się na niego złapał i naraził potem na wykpienie. Dlatego uśmiechnąłem się tylko dość niewyraźnie i byłem bardzo szczęśliwy, iż nie trzeba było sprawy tej podejmować. Wierszyk jednak zapamiętałem, jak widzicie, aż po dziś dzień.

Z kolei i ja poszedłem na uniwersytet i wtedy znów wróciłem do niego, patrząc jednak już zupełnie inaczej.

Jeśli bowiem krokodyla się zna nie z obrazka, a ptaki nie tylko jako pierzaste zwierzęta, unoszące się w powietrzu, lub przeskakujące z gałązki na gałązkę, jeśli jednym słowem zapoznać się z nimi bliżej, we wszelkich nie tylko zewnętrznych, ale wewnętrznych szczegółach anatomicznych, to podobieństwo będzie większe nawet aniżeli między karoserią samochodu a pudełkiem.

Anatomowie specjalną zwracają uwagę, ażeby nie dać się złudzić zewnętrznymi różnicami przy określaniu pokrewieństw zwierzęcych, a brać przede wszystkim pod uwagę szczegóły budowy wewnętrznej. Otóż mózg krokodyla, jego serce — prawie całkowicie rozdzielone na cztery oddziały — dwie komory i dwa przedsionki, jego żołądek, posiadający część gruczołową — trawiącą i część o ściankach silnie umięśnionych, służącą do rozcierania pokarmu, są właśnie takie, jakie bywają u ptaków.

W dawnych epokach geologicznych spotkano odciski lub szkielety zwierząt, które były dużo bardziej i z zewnętrznego wyglądu do krokodyla podobne, miały jego wydłużoną głowę, opatrzoną równymi, jednakowymi zębami, w których tak jak u niego nie można było odróżnić kłów, trzonowych i siekaczy oraz długi charakterystyczny ogon, ale przy tym wszystkim pokryte były piórkami, a przednie łapy miały przekształcone w upierzone skrzydła. Z kolei u po dziś dzień jeszcze żyjących niektórych ptaków można znaleźć na skrzydłach pazury, wskazujące, iż te organy rzeczywiście wykształciły się z pięciopalczastej, upazurzonej łapy.

Gdybym wam mógł pokazać jaja krokodyla, przekonalibyście się, że przypominają one jaja naszych gęsi, tylko, że wapienna skorupa nie jest tak gruba.

Krokodylica nie wysiaduje. Powierza raczej ogrzewanie słońcu. Jeśliby nawet zresztą miała zamiar pokrywać swoim ciałem gniazdo z 60 — 80 jajami, gdyż tyle mniej więcej wynosi jej doroczny miot, nie wieleby z tego przyszło rozwijającym się wewnątrz zarodkom, gdyż pewnie wiecie, że w przeciwieństwie do ptaków i ssaków, które bez względu na temperaturę panującą dookoła, utrzymują w swym ciele zawsze ciepłotę na wysokość 37 — 40 stopni i stąd noszą nazwę stałocieplnych, krokodyle nie posiadają tej zdolności, ich ciało zatem ma zawsze temperaturę tylko taką, jak otaczający piasek lub powietrze.

Toteż przy ich ciele ogrzać się nie można; są one zmienno-ciepłe, jak dawniej mówiono — zimnokrwiste.

Tym niemniej krokodylica nie zapomina o swoich dzieciach. Wykopawszy płytki dołek w wilgotnym piasku w dobrze usłonecznionym miejscu, zasypuje go po złożeniu jaj, starannie wyrównywując powierzchnię, a potem przez dwa miesiące krąży w pobliżu, pilnując swego skarbu. Niektórzy obserwatorzy twierdzą, że pomaga nawet wykluwającym się malcom.

Faktem jest, że na parę dni przed wykluciem krokodylki siedząc jeszcze w jajku, podnoszą pisk taki, iż wprawne ucho dosłyszeć go może w odległości kilkudziesięciu kroków.

Po wykluciu, krokodyl ma około 20 cm i prawie zaraz cała czereda wraz z mamą wędruje do wody. Tu już kończy się opieka macierzyńska i każdy prowadzi żywot, jak to mówią „na własną rękę".

Krokodylki rosną dość prędko. Po kilkunastu latach, gdy osiągają długość 2 — 3 metrów są już zdolne do dalszego wydawania potomstwa. Nie przeszkadza im to jednak rosnąć dalej, choć już nieco wolniej, a ponieważ żyją prawdopodobnie 200 do 300 lat, należąc do najbardziej długowiecznych zwierząt na ziemi, nic dziwnego, że trafiają się sztuki przekraczające 10 metrów długości. Zazwyczaj jednak 6 — 7-o metrowe krokodyle są już prawdziwymi olbrzymami.

Z dawien dawna krążą o krokodylach niesłychane opowieści, jako o pożeraczach ludzi, ssaków i w ogóle wszystkich zwierząt, które im wpadną w paszczę. Jak zwykle, jest w tym trochę przesady. Tylko bardzo duże krokodyle ryzykują zaatakowanie człowieka. Przeważnie zaś żywią się one rybami, padliną, czasem nawet mniejszymi osobnikami własnego plemienia.

Na lądzie krokodyl czuje się bardzo niepewnie, jest tchórzliwy i stara się uciec do swego wodnego żywiołu. Zwycięstwa odnoszą one tylko w wodzie, jeśli uda się im utopić swą ofiarę, wciągając ją pod powierzchnię.

Nawet i tam jednak ludzie dają sobie z nimi radę. Rybacy indyjscy z Ameryki Południowej, jeśli w sieciach ich zaplącze się krokodyl (żyją tam miano... krokodyle z grupy kajmanów), nurkują spokojnie i wyplątują potwora pod wodą, nie chcąc, aby miotające się zwierzę przy wyciąganiu, poniszczyło im drogocenne sieci. Twierdzą oni, iż jeżeli krokodyla drapać i łaskotać jedną ręką po boku, to sprawia mu to taką przyjemność, iż siedzi spokojnie, i wtedy drugą ręką można go bezpiecznie wyplątać ze sznurów sieci. W każdym razie nie jest to bezpieczne ćwiczenie, prócz szczęk krokodyla, które z chwilą pochwycenia zdobyczy — zwierają się z siłą żelaznych klamer, uderzenia jego ogona, mogą być dla człowieka śmiertelne.

W fermach hodowlanych, bądź w terrariach krokodyle oswajają się i przyzwyczajają do karmiącego je opiekuna.

Długoletni dozorca 30-tu olbrzymich krokodyli z Akwarium berlińskiego, pokazywał mi co prawda straszne szramy na ramionach po zębach swoich pupilów.

„Czasami bowiem, kiedy się rozdaje mięso, krokodyl chwyta za rękę". — opowiada, z uśmiechem. — „I cóż wtedy" — „O, wte-

(Dokończenie na str. 5)

BENEDYKT HERTZ

MAŁPECZKA JASIA

Zza morza wrócił wuj na okręcie,
przywiózł Jasiowi małpkę w prezencie.

Bardzo podobna była do Janka,
kiedy wkładała jego ubranka.

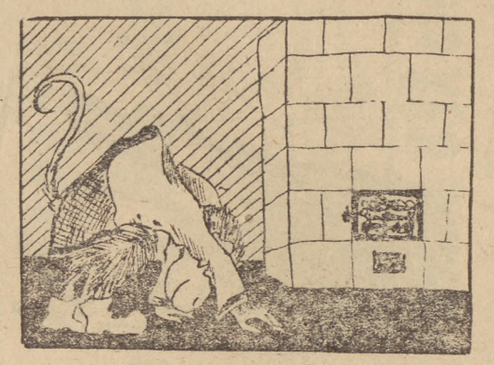

A gdy zaczęła się gimnastyka,
Jasio najlepiej koziołki fika.

Gdy się rozfikał — a to ci heca!
Jak skoczył na piec, nie chce zejść z pieca.

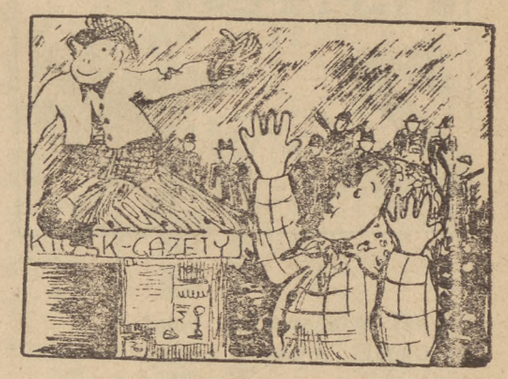

A tu tłum coraz większy się garnie;
Jasio dał susa, hops na latarnię.

Z latarni na kiosk, jak piłka skoczy,
aż gazeciarka wytrzeszcza oczy.

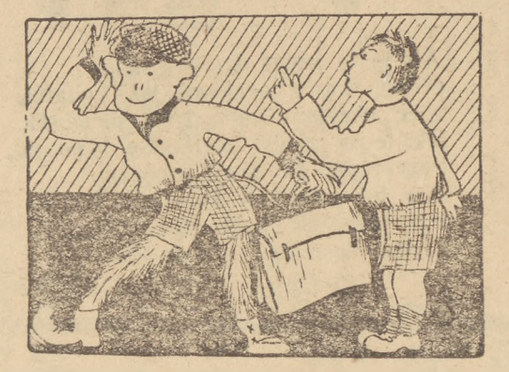

Raz dał jej czapkę, buty, majtasy
i rzekł: idź za mnie dzisiaj do klasy

Pyta pan tego, pyta owego,
a Jasio wstaje z każdym kolegą.

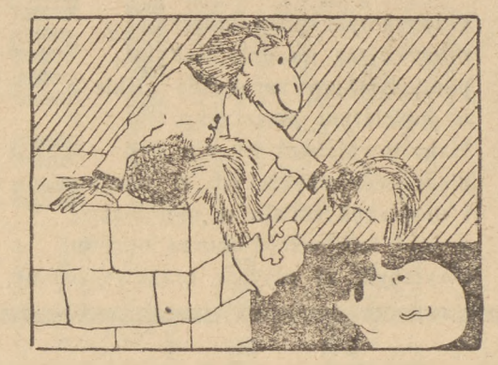

Woła profesor: Złaź, bo wytłukę,
a Jaś mu z głowy zdziera perukę.

Potem jak wariat po izbie hasa:
z piskiem i krykiem goni go klasa.

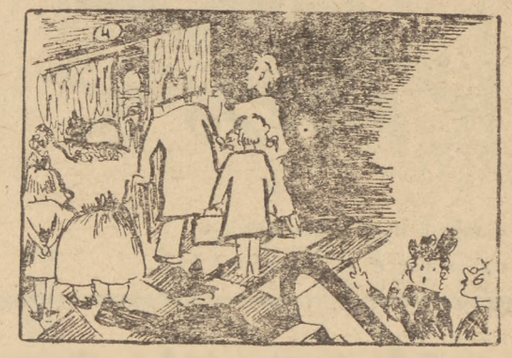

Z kiosku na balkon i ot jest w domu.
Teraz już nie da się byle komu.

Ale nie koniec jeszcze pogoni,
bo tłum na schodach i do drzwi dzwoni.

Siedź, Jasiu, ciebie nie pytam wcale.
Widzę, że umiesz dziś doskonale.

Na lekcję śpiewu profesor prosi,
Jaś głośno wyje, aż się zanosi.

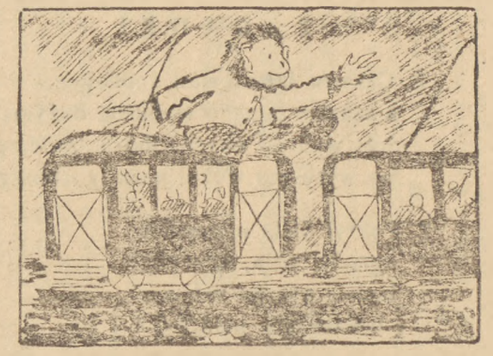

A Jaś pogoni unika zwinnie,
skoczył na okno, zjeżdża po rynnie.

Biegną przechodnie; Jasio ze strachu
skoczył na tramwaj, jedzie na dachu.

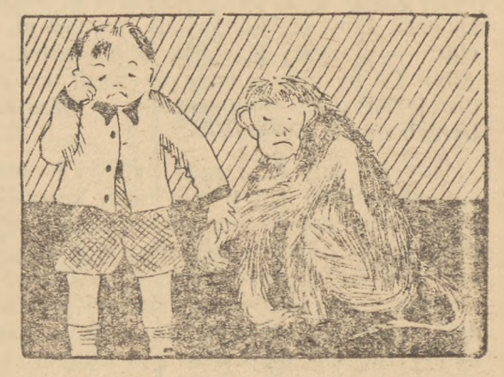

Wnet pełne obcych było mieszkanie
i w domu własnym Jaś dostał lanie.

A tajemnicę starowi całą,
któremu z Jasiów to się dostało.

Z. KWIECIŃSKA

MARYSINA PRZYGODA

Wszyscy wyszli z domu i Marysia została sama na gospodarstwie. Bardzo jej się to początkowo podobało. Pozamiatała w izbie, pomyła statki, poprawiła firanki i usiadła przy oknie. A na dworze deszcz. Taka jesienna szaruga. Zasnuło się niebo, grubymi, ciężkimi chmurami i trudno uwierzyć, że nie dawno jeszcze było niebieskie i słoneczne. Na kałużach tworzą się bańki, a rano nawet był mróz. Siedzi Marysia i nudzi się. A w chlewku prosiak, ten co go niedawno tatuś z jarmarku przywiózł, kwiczy jakby mu się krzywda działa, i tłucze się tak, że mało chlewa nie rozwali.

— Nudzi się, biedakowi — myśli Marysia — gdzież tak samemu cały dzień siedzieć i to jeszcze po ciemku. Pójdę uspokoję go trochę.

Wprawdzie mama nigdy nie pozwalała chlewa otwierać samemu, ale przecież nikt nie będzie widział. Tylko troszeczkę, tylko drzwi uchylić.

Okręciła się Marysia wielką maminą chustką i wyszła na podwórze.

— Co ci to maluśki, co?

A prosiak z chlewa:

— Kuwi, kuwi, kuwi...

— Zaraz, ci otworzę, zaraz. Nie martw się, nie płacz.

Widocznie zrozumiał bo przycichł.

Namęczyła się Marysia zanim ciężką zasuwkę odsunęła, ale jakoś poradziła. Buchnęło na nią gorącym zapachem chlewa, aż w nosie zakręciło i nagle... co to? Marysia leży w błocie a prosiak po podwórku bryka. Ani się nawet spostrzegła jak ją przewrócił i uciekł. Stoi sobie teraz w kałuży i ryje różowym, śmiesznym ryjkiem.

— Mału, malu, maluśki — woła Marysia, ale prosiak nie zwraca nawet na to uwagi. Chlapie się w błocie i już.

— Złapię go — myśli Marysia. Ale jak tu złapać? Za ogon czy jak? A przy tym prosiak podejść do siebie nie da. Co się Marysia zbliży, to on wierzga nogami i już jest w drugim końcu podwórza. Któż by to przypuszczał, że takie niezgrabne, grube stworzenie, tak prędko biegać potrafi.

— Trzeba go chyba zagonić do chlewa. Żeby chociaż mama nie nadeszła.

Wzięła Marysia wielki kołek, co stał w kącie między drewutnią a domem i daleko prosiaka zaganiać. Ale prosiak nagle już spod samego chlewika skręcił w bok i szur w otwartą furtkę i na drogę, z drogi w pole na zryte świeżo ziemniaczysko. A Marysia za nim. Deszcz chlapie, mamina nowa chustka wlecze się po błocie, a prosiak, co chwilę przystanie — to już na drugie miejsce ucieka. Już z ziemniaczyska przeniósł się na ścierniska, co na nim żyto było. Ojej... Na Klimkową oziminę polazł!

— A chuziaj!... — krzyczy Marysia. — A do domu!... — i myśli. — Żeby tylko do lasu nie uciekł, bo jak go tam gonić.

A prosiak jakby odgadł Marysine myśli i na złość jej chciał zrobić, prosto do lasu się kieruje. I biegiem, przez zagony, przez kałuże, tylko mu się kręcony ogonek trzęsie. Zasapała się Marysia, trzy razy upadła w błoto. W butach chlupie, z mokrych włosów ścieka woda.

Wreszcie dobiegli do lasu. Tu prosiak wreszcie, widocznie też zmęczony, zatrzymał się na chwilę. Nie idzie dalej. Stoi i chrząka. Wreszcie znalazł sobie wygodne miejsce pod starym dębem i położył się. Chrząka w dalszym ciągu, ociera się o pień i ryje nosem rozmiękłą ziemię. Podeszła Marysia bliżej, zupełnie bliziutko, podrapała go za uchem i prosi:

— Mój prosiaczku, mój kochany, wracajmy do domu. Mamusia gniewać się będzie, i zimno już i deszcz pada...

A on nic. Jakby nie słyszał. Próbuje go Marysia ciągnąć za szyję tak jak Burka albo kota Mruczusia. Ale czy to da radę takiego zwierza udźwignąć? A prosiak uparł się, leży jak kamień, ani drgnie.

Usiadła Marysia na pieńku i czeka — może sam się namyśli i wróci do domu. Ale gdzie tam? Ani nawet myśli się ruszyć. Co tu robić? Zimno, deszcz, zmierzch zapada. W lesie robi się coraz ciemniej i coraz straszniej. A co będzie jeśli wilki wyjdą? Albo niedźwiedzie? I Marysia sama nie wie, czy to deszcz spływa po buzi, czy łzy. Siedzi i płacze i biadoli coraz głośniej. A prosiak jej spod dębu wtóruje:

— Kuwi, kuwi, kuwi!...

A szedł właśnie przez las Wojtek od kowala. Idzie sobie, czapkę na tył głowy zsunął i pogwizduje. Zobaczył Marysię na pieńku płaczącą i zatrzymał się.

— A cóż to za koncert tu urządzacie? Prosiaka śpiewać uczysz czy jak?

Zawstydziła się Marysia. Przycichła trochę. A Wojtek dalej śmieje się z niej.

— Chybaś porządnie nabroiła i za karę kazali ci świnię na błocie paść.

Tu już Marysia nie wytrzymała i w taki płacz, taki lament uderzyła, aż przestraszony prosiak głowę do góry podniósł ze zdziwienia.

— Oj, pomóż mi Wojteczku, oj pomóż mi zagonić go, bo już sobie nijak rady dać nie mogę.

—A pocoś wypuściła? — żartuje Wojtek. — Czekaj, jak będę wieczorem wracał to ci go zagonię...

Ale nie był taki zły. Ułamał gałązkę i tylko w powietrzu machnął nią a prosiak zrozumiał. Od razu spokojniutko, poszedł tam, gdzie mu Wojtek kazał — przez las, przez pole, przez drogę, na podwórze i do chlewa. Zamknął Wojtek chlew, zasunął zasuwkę.

— No, widzisz. Nie takie to trudne.

— Jakeś ty to Wojteczku zrobił?

— A, ja umiem z nim rozmawiać.

— Naucz mnie.

— Teraz nie mam czasu. Innym razem.

I poszedł sobie w swoją stronę, pogwizdując przerwaną piosenkę. A Marysia długo rozmyślała nad tym, jak to Wojtek prosiakowi wytłumaczył, żeby poszedł do domu. Ale nie mogła zrozumieć i zmęczona przygodą zasnęła przy oknie.

Plama na podłodze

— Jestem plama na podłodze,
Siedzę tutaj mocno srodze,
Siedzę tu we własnym domu,
Nie ustąpię stąd nikomu!

Wyskoczyła miotła z kąta,
Szuru - buru izbę sprząta,
Szuru - buru deski skrobie:
— Brzydka plamo, idźże sobie!

— Jestem plama na podłodze,
Siedzę tutaj mocno srodze,
Siedzę tu we własnym domu,
Nie ustąpię stąd nikomu!

Wyszła ścierka, szara - nóżka,
Szachu - machu kurz spod łóżka,
Szachu - machu... to ci heca!
— Plamo, wynoś się spod pieca!

— Jestem plama na podłodze,
Siedzę tutaj mocno srodze,
Siedzę tu we własnym domu,
Nie ustąpię stąd nikomu!

Skoczył sagan wprost z komina,
Plama swoje znów zaczyna.
Od początku znów się swarzy...
A sagan ją chlust! — Aj, parzy!

Pokrzyczała plama chwilę,
Poszła za piec... cztery mile.

Janina Porazińska.

KOŁEK W PŁOCIE

A ten kołek,
a ten w płocie
w wielkim znalazł
się kłopocie:

mróz go chwycił —
mocno ściska,
a on nie ma
kożuszyska!

Patrzy śnieżek,
patrzy krzynę:
— Naści, kołku,
choć czapczynę!...

A ten kołek,
a ten w płocie,
znowu w wielkim
jest kłopocie:

wicher zimny
wieje, dmucha,
a on ciągle
bez kożucha!

Patrzy śnieżek,
patrzy krzynę:
— Naści, kołku,
tu pierzynę!...

L. Wiszniewski

(Ciąg dalszy ze str.2)

dy, broń Boże, nie trzeba się wyrywać. Czy boli, czy nie boli, najlepiej usiąść przy nim spokojnie, głaskać go i łagodnie przemawiać. Po kilku minutach, krokodyl na chwilę otwiera paszczę, ażeby chwycić głębiej, i ten moment należy wykorzystać, żeby wysunąć pochwycone ramię, czy dłoń. A jeśliby się narobiło hałasu, to krokodyl zacznie rzucać głową, szarpać, co tylko potęguje ból, a może nawet spowodować urwanie ręki".

„Tym niemniej bardzo lubię moje zwierzęta i choć mi dyrektor kilkakrotnie proponował przejście na inny dział, ja jednak pozostanę z krokodylami, bo wiem, że i one mnie lubią i naprawdę nie chcą mi zrobić nic złego".

Przyznam się wam jednak, że niezupełnie mnie przekonał i dlatego każdemu doradzam wybranie innego zawodu, niż pielęgnowanie krokodyli. Chociaż z drugiej strony przyznać trzeba, że opłaca się to czasem, gdyż skóra krokodyla do wyrobów galanteryjnych ceniona jest wysoko, a gruczoły przyogonowe, znajdujące się u samców dają wydzielinę, o silnym zapachu piżma, o dużej wartości w kosmetyce.

ANNA ORŁOWSKA

POMAGAJMY SOBIE...

Jeszcze nigdy w IV B klasie nie było tyle dwój, co w tym miesiącu. I z polskiego, i z arytmetyki, i z historii — aż wstyd świadectwa pokazać. Dzieci siedziały nachmurzone i złe. Nawet Witek, który miał same dobre, też zwiesił nos na kwintę i przechwalał się, że ma trzy pały, chociaż i tak wszyscy wiedzieli, że to nie prawda. Ale Witek wstydził się tych swoich czwórek.

— Jeszcze pomyślą, że się wyróżniam albo podlizuję.

A przecież nikt nie może temu zaprzeczyć, że Witek był koleżeński i pomagał jak umiał. I podpowiadał i ściągawki dawał, trzy razy za to był zapisany w dzienniku, raz nawet z klasy wyleciał, a w końcu kazali mu siedzieć na oddzielnej ławce. I wstyd i nieprzyjemnie.

Wprawdzie z tych ściągawek i podpowiadania nie zawsze był pożytek. Ale cóż można robić z gapami. Bo na przykład tak: Pani wywyła Maryśkę. Maryśka zdążyła tylko szepnąć:

— Nic nie umiem. Podpowiadaj.

Pani pyta:

— Powiedz mi, Marysiu, kto to taki był Kopernik?

Więc Witek „dmucha":

— Wielki polski astronom.

A ta niedosłyszała i powtarza: —

— Wielki polski agronom.

W klasie śmiech. Pani mówi:

— Witku, ciebie nie pytałam.

Marysia już ani słowa więcej nie powiedziała i naturalnie dostała dwójkę. I tak było najczęściej. Witek się stara, aż się spoci i nic z tego nie wyjdzie. Albo na przykład tak: Stefan ma mieszkanie bez elektryczności i do tego takie ciasne, że nie ma nawet gdzie lekcji odrabiać. Jeżeli nawet napisze zadanie, to zawsze albo mu się naftą zaleje, albo kleks się zrobi, nie mówiąc już o biedach. Raz Witek zaproponował mu:

— Daj zeszyt, ja ci napiszę.

Bo bardzo dobry chłopak z tego Witka i radby wszystkim naokoło pomagać.

Stefan się ucieszył:

— Napisz Witku, może jakoś z tych dwój wyjdzie.

Witek zabrał zeszyt Stefana do domu, ślicznie napisał wypracowanie. Jeszcze ładniej niż sobie, czyściutko, równymi literami. Wszyscy w klasie orzekli:

— Za to musisz dostać celująco.

A pani obejrzała zeszyt i mówi:

— Bardzo dobrze, ale to przecież nie ty, Stefku, pisałeś. To nie twoje pismo.

I tak było zawsze.

Rada w radę uradzili, że koniecznie trzeba iść do dyrektora i że musi iść Witek.

Witek przyczesał rozczochrane włosy, zerknął ukradkiem, czy paznokcie nie są bardzo brudne i poszedł. A dyrektor siedział właśnie w swoim gabinecie, taki zajęty, że nawet głowy nie podniósł z nad papierów.

— No co tam? — spytał, zapisując coś w w małym notesiku. — Znowu coś przeskroba[illegible]?

Wtedy Witek wypalił jednym tchem:

— Panie dyrektorze, u nas w klasie jest 25 dwój.

— Wiem o tym, niestety, bardzo dobrze. No więc co? Kto twoim zdaniem temu jest winien? Czy pani wam źle tłumaczy? Czy zadaje za dużo?

— Nie.

— Widzisz więc. Gdzie indziej leży przyczyna. Dobrze żeś przyszedł, właśnie chciałem dzisiaj z wami o tym mówić. Siadaj, będziemy każdego po kolei omawiali tak, jak na konferencji szkolnej. Wacek...

— Wacek, panie dyrektorze, bardzo dużo się uczy, słowo daję, bardzo się uczy.

— Ja wiem, ale jest niezdolny. Kuje na pamięć i nic z tego nie rozumie. Trzeba byłoby jemu pomóc. Jak myślisz? Nie zechciałbyś mu pomagać w odrabianiu lekcji.

— Mogę, ale niech on do mnie przychodzi, bo ja nie mam czasu tak daleko biegać.

— Dobrze, poczekamy, są jeszcze inni. Czy Walczak też pilnie się uczy?

— Też — bąknął Witek.

Dyrektor uśmiechnął się.

— Bardzo pięknie, że nie chcesz obmawiać kolegi, ale ja sam wiem, że Walczak cały dzień gania po ulicy z chłopakami i ani myśli o lekcjach. Trzeba byłoby go jakoś zainteresować. Prawda?

Witek kiwnął głową.

I tak okazało się, że każdy miał jakieś przeszkody. Jeden miał mieszkanie ciasne, drugi był niezdolny, trzeci leniwy, czwartemu brakowało książek. Witek aż się spocił podczas tej rozmowy z dyrektorem, aż mu łzy w oczach stanęły.

— No więc jak, panie dyrektorze? Już tak te nasze dwójki muszą zostać?

— Nie, nie mogą zostać. Trzeba znaleźć na to jakąś radę. Tobie nic nie przychodzi do głowy?

— Nie.

— A mnie przyszło. Macie swoją spółdzielnię. Kupujecie w niej zeszyty i ołówki po cenach trochę niższych w sklepiku na dole. Pomagacie sobie w ten sposób, prawda? A gdybyście tak zorganizowali taką wspólną pomoc przy odrabianiu lekcji? Tobie jednemu trudno będzie wszystkim pomagać. Ale przecież Kozielski do tej pory myli się w tabliczce mnożenia, ale za to zna doskonale gramatykę. On mógłby pomagać odrabiać polski. A kto inny rachunki. Zbieralibyście się tu w świetlicy, wspólnie rozwiązywalibyście zadania, jeden drugiemu tłumaczyłby, jeden drugiego przepytywałby i nawet leniom wtedy wstyd byłoby przyjść do szkoły z nieodrobionymi lekcjami. Nie mieliby już żadnej wymówki. No, cóż, zaproponuj to kolegom.

Gdy po lekcjach Witek opowiedział o swojej rozmowie z dyrektorem w klasie zawrzało. Jedni się zgadzali, drudzy mówili, że nic z tego nie wyjdzie.

Ale wreszcie zebrała się grupka, która postanowiła spróbować. Będą się schodzili po obiedzie i póty będą siedzieli, póki wszystkich lekcji nie odrobią.

— A wiecie co? — zaproponował Stefan — zrobimy tak jak u brata w fabryce. Zrobimy wyścig. I zrobimy plan, żeby w następnym miesiącu nie było ani jednej dwójki. Ja mam aż cztery dwóje, a Henryk trzy. Wyzywam Heńka. Kto jeszcze?

To wszystkim podobało się. Ciekawsze nawet niż gra w zielone.

— A jakie będą nagrody?

— O tym pomyślimy.

— Mało ci tego, że dwójek do domu nie zaniesiesz?

— No więc, dobrze. Od dzisiaj zaczynamy nasz wyścig pod hasłem: „ani jednej dwójki w listopadzie".

A czy wy w szkole też może macie takie kłopoty? I jak sobie radzicie? Napiszcie o tym do nas.

Nr 317 (705) ŚWIAT DZIECI Str. 5

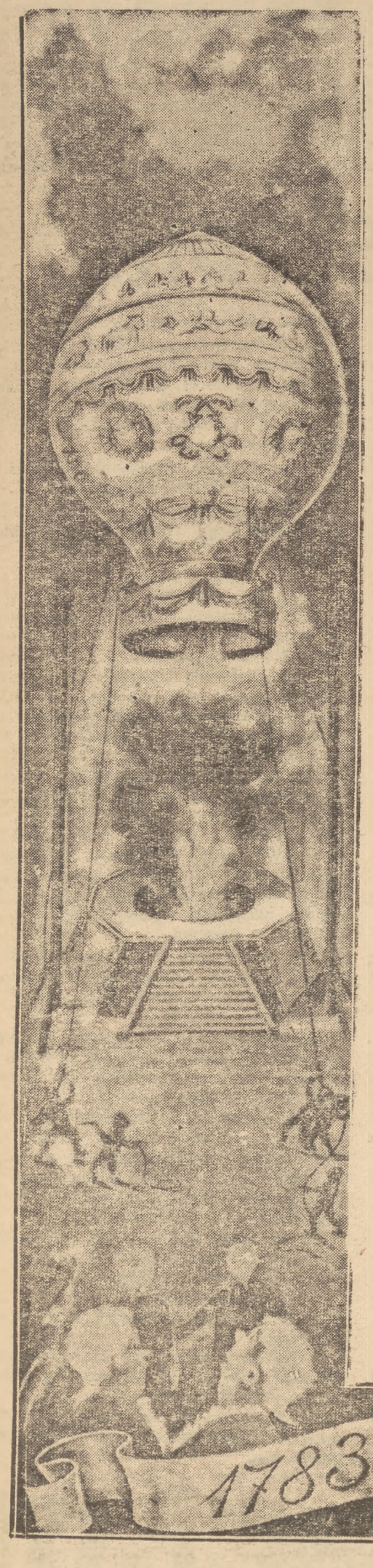

Stanisław Nowaczyk

Diabelska sztuczka

To, o czym wam dzisiaj opowiem, działo się przed 163 laty. Kto już obliczył, w którym to było roku? Krysia, podpowiada: 1783. Tak, zgadza się. Ale co takiego było w tym roku? Kto wie? Nikt? Więc posłuchajcie.

Jest we Francji miejscowość, która się Annonay nazywa. W pobliżu Lionu. Mieszkała tam rodzina nazwiskiem Montgolfier. Ojciec, matka, oraz dwaj synowie: Stefan i Józef. Oj, sprytni to byli chłopcy! Męczyli, zamęczali ojca ciągłymi pytaniami. Żeby to jeszcze jakie mądre pytania były, ale powiedzcie sami, czy mądre jest pytanie, czemu dym leci w górę? — Prawda, że niemądre! Ojciec nie miał czasu odpowiadać im na wszystkie pytania, matka też nie. Więc Stefan i Józef ciągle o tym myśleli. Bo chcieliby wiedzieć, dlaczego. — A innym razem gdy byli w kuchni, na parę się zapatrzyli.

— Mamusiu, czemu para leci do góry?

— Albo ja wiem? Pewnie dlatego, że jest parą!

Nie, taka odpowiedź chłopców nie zadowoliła! Dym leci w górę, — i para...

Krzyk jakiś na ulicach Annonay. Trąbienie. Co się stało? Wyjrzał Stefan przez okno, — pożar! Wielki pożar. Pali się dom i stodoła w pobliżu.

— Chodź Józefie, będziemy potrzebni przy gaszeniu. Prędzej!

Pobiegli. Nie na wiele się przydali. W płomieniach stał dom i stodoła. Ratować trzeba już tylko sąsiednie domy i inne zabudowania. Stoją w łańcuchu i podają jeden drugiemu wiadra z wodą, i patrzą na rozszalały pożar. Wiatru nie ma, wielkie szczęście, że nie ma! Ale czemu słoma z dachu w górę leci? Wielkie wiązki, tam cały snop. Dlaczego? Stefan pierwszy to zauważył. Zwraca się z tym do Józefa. Obaj się przyglądają. Dziwne, rzeczywiście dziwne. Jakby jaka diabelska sztuczka. Pierwszy raz to widzą. Patrzyli długo, rozmawiali jeszcze potem, gdy płomieni nie było, tylko gorący żar trawił resztki. Stefan rzucił nad ten żar kawał papieru, — uleciał w górę. Długo o tym pamiętali. Jeszcze wtedy, gdy na wakacje jako młodzieńcy ze szkół przyjeżdżali. I powtarzali sobie niejednokrotnie: dym leci w górę, para też, — i słoma nad palącym się domem również. Czy to nie dziwne?

Jednego dnia Stefan tak rozmawiał z Józefem:

— Kula mi się dzisiaj przywidziała. Wielka bania z papieru. I żeby dymem ją napełnić, to poleci w górę. Co o tym sądzisz, Józku?

— Ale papier musiałby być bardzo cienki!

— Spróbujmy!

Spróbowali. Zaczęli lepić. Z wielkim zapałem. Z prętów zrobili obręcze, oblepili je papierem. Bardzo szczelnie, żeby dym nie wyleciał. Przez kilka dni się nad tym męczyli. Rzetelnie się nameczyli. I nie od razu się udało. Obręcz pękła, trzeba nową zbić. To znów Józef palcem papier przebił, — zalepiać trzeba. Ale na niedzielę bania była gotowa. Nie taka znów wielka. Może jak duża dynia. W jednym miejscu zostawili otwór, żeby dym napuścić. Tylko jak z tym dymem zrobić? Jak go wpuścić do bani? Kłopot. Myśleli, że w niedzielę pokażą rodzicom sztuczkę, a tu nic z tego.

— Już wiem! Zapalimy ogień na podłodze a banię umieścimy na dwóch krzesełkach. Dym poleci w górę i wpadnie do środka. Albo banię powiesimy na sznurze.

Stefan to był, który ten sposób wynalazł. Spróbowali. Na podłodze położyli blachę, Józef przyniósł wiązkę słomy, bania na dwóch stołkach. Stefan zapalił słomę. Pali się, dymu coraz więcej. Gryzie w oczy. Pełno go w pokoju, pełno w izbie.

— Daj więcej słomy, bo nie gasnie!

Pobiegł Józef i podłożył. Płomień buchnął, — że aż gorąco się robi obok. Patrzą... Kula drgnęła. Podskoczyła, ale osiadła na stołkach. Więc jeszcze więcej słomy. Płomień silniejszy. Objął całą banię. Pali się papier. Gaszą, wodą zalewają, — na próżno! Z takim trudem zbudowana, spaliła się bania papierowa. Przykro im było. Popatrzyli na siebie.

— Nową zbudujemy! Większą, lepszą! Jutro do roboty!

I zbudowali!

Zbudowali nową banię. Globem ją nazywali. Miała jeden metr średnicy. Na dziedzińcu zrobili próbę. Ojca zaprosili, by patrzał. Wielka bania spokojnie spoczywa na dwóch stołkach. Józef podkłada słomę. Dużo słomy, może pół snopka. Stefan wygładza ręką papier, na prętach rozpięty. Próbuje, czy bania dość lekka. Spogląda na snop słomy...

— Czy nie za duża? Poleci?

Józef już podpala. Tli się najpierw, — dużo dymu. Płomień ouchnął języry ognia objęły całą prawie kulę. Przestraszyli się bracia. Żeby papier się nie zajął! Rozrzucili nieco słomę. Powietrze dokoła gorące. Wszyscy patrzą, co będzie. A balon nic. Stoi na stołkach. Nawet nie drgnął!

— Nic z tego nie będzie! Nie poleci, co z ziemią związane! Sztuczka diabelska się nie uda. Zostawcie ją czarnoksiężnikom!

Ledwie słów tych ojciec dopowiedział, bania drgnęła, uniosła się i w górę wzbiła. Leci wolniusieńko bardzo wolno, ale leci. Może z 10 metrów w górę, może więcej. Dech wszyscy wstrzymali. Cud, prawdziwy cud! A balon się zatrzymał, — stoi teraz w miejscu. Zaczyna opadać. Wolno, łagodnie. Już jest na ziemi. Ojciec ściska syna. Jest wzruszony. Łzy ma w oczach. Próba się udała!

— Czekajcie, za dwa tygodnie przyrządzę wam w mojej fabryce taki papier, że balon poleci nie 10 metrów, ale 100 i więcej!

Braci ogarnął zapał. Widzieli już na niebie ogromną kulę, która leci daleko, niesie z sobą ludzi, przenosi ich z miejsca na miejsce, z miasta do miasta. Zabrali się do lepienia nowego balonu. Po głębokim namyśle nie z papieru go zrobili, lecz z płótna, a tylko oblepili papierem, by szczelniejszy był.

Zbliżył się dzień 5 czerwca. Bania była już od paru dni gotowa. Wielka, ogromna. Stefan wymierzył jeszcze raz: 11 metrów średnicy. To przecież olbrzym! Cała rodzina mogłaby w tym zamieszkać. I to ma wznieść się w powietrze? Musi się wznieść!

Na białym papierze napisał zaproszenia. Wybrał przede wszystkim takie osoby, które najbardziej naśmiewały się z ich pomysłu. Niech zobaczą tę „sztuczkę diabelską", — niech się przekonają, że bracia umieją nie tylko w fabryce papieru pracować, ale również wymyślić coś nowego.

Zaproszenie napisane. Zapraszają na jutro, na dzień 5 czerwca. Próba będzie na rynku.

Listy wysłali i dalej czynili przygotowania.

Ranek 5 czerwca był pochmurny. Zmartwili się, bo co będzie, jeżeli deszcz zacznie padać?

Przenieśli swój glob na rynek. Ludzie zaczęli się gromadzić. Mężczyźni i kobiety. Kobiet więcej. Czekają na sztuczkę diabelską. Bardzo wszyscy ciekawi. Patrzą na olbrzyma. Nie wierzą, by się to uniosło w górę. Bo przecież co z ziemią związane, od niej się nie oderwie.

Józef podkłada pod banię słomę. Serce mu bije niespokojnie. Czy się uda?

Stefan obchodzi ostatni raz ten swój „glob". Przygląda się troskliwie. I jemu serce bije niespokojnie. Patrzy na zebrany tłum. Daje Józefowi znak. Słoma zaczyna się palić. Dym leci w górę, obejmuje balon, wypełnia jego puste wnętrze.

Zaczyna padać. Najpierw deszcz drobny, potem coraz silniejszy. Panie otwierają parasole. Ale nikt z rynku nie odchodzi. Józef podsyca ogień, dmucha, żeby płomień był silniejszy. Balon coraz bardziej niespokojny. Jakby i jemu serce biło. Już 10 minut się pali, już 11. Nic! 12 minut, 13, — nic! Już 14, już 15... Glob się unosi. Lekko, jak piórko, podmuchem wiatru uniesione! Leci, leci... A przecież waży 225 kilogramów. Diabelska sztuczka!

A tu deszcz pada coraz mocniej i gasi ogień, który nie jest już zresztą potrzebny, bo balon jest wysoko. Panie zamknęły parasole, zadarły głowy do góry i chociaż im deszcz po twarzy spływał, patrzały na balon, który leci coraz wyżej, wyżej.

Poleciał i opadł o 2 km od Annonay.

Lot się udał. Wieść o tym szybko rozeszła się we Francji. Mieszkańcy Paryża zebrali 10 tysięcy franków, by bracia Mongolfier zbudowali nowy balon i powtórzyli swoją sztuczkę w Paryżu. Po namyśle i naradach z ojcem bracia się zgodzili. Po dwóch miesiącach nowy balon był gotowy. Przewieziony został pod Paryż, do Wersalu, by król francuski i królowa mogli widzieć lot. Bracia wprowadzili nowość: przywiązali do kuli kosz, w którym umieścili koguta, kaczkę i owcę. Chcieli się przekonać, co stanie się ze zwierzętami. Czy tam wysoko będzie dość powietrza? I wiecie, co się stało? Balon, napełniony gorącym powietrzem, wzbił się w górę, osiągnął około 1500 metrów wysokości i po 8 minutach opadł. A zwierzęta? Wróciły na ziemię żywe i zupełnie zdrowe. Owca została umieszczona z wielkimi honorami w zwierzyńcu królewskim. A co się stało z kogutem i kaczką, tego nie wiem. Zapewne wróciły do swych kurzych i kaczych gromad i dalej na podwórzu się uwijały.

I to już wszystko, com wam chciał dzisiaj o balonach powiedzieć. Co? Nie powiedziałem jeszcze wszystkiego? Jeszcze o czymś zapomniałem? Prawda, prawda, zapomniałem powiedzieć, dlaczego balon leciał w górę. Bo napełniony był gorącym powietrzem. A dlaczego gorące powietrze leci w górę? — Bo jest lżejsze od powietrza zimnego. To tak samo, jak korek i woda: zawsze wypłynie korek na powierzchnię, bo lżejszy. Para też jest lżejsza, więc leci w górę, dym również, bo rozgrzany.

Teraz to już chyba wszystko. Ach, prawda! Przecież jeszcze o pierwszych lotnikach. Więc jeszcze posłuchajcie. Bracia Montgolfier, po wypróbowaniu lotu ze zwierzętami, zaczęli myśleć o tym, by człowieka umieścić w koszu balona. Tylko kto zechce wsiąść? Przecież to jednak niebezpieczne... Ktoś podpowiedział: niech to będą ludzie skazani na śmierć. Zwykli zbrodniarze. Jeżeli w czasie lotu zdarzy się nieszczęśliwy wypadek, nie szkoda będzie takich ludzi.

Taką myśl ktoś podsunął, bracia zwrócili się z tym do króla. Uzyskali zgodę. Zaczęły się przygotowania. Lecz stało się coś, czego nikt przewidzieć nie mógł: oto zgłosili się dwaj francuscy przyrodnicy, ludzie uczeni. Jakto? Pierwszymi lotnikami świata mają być zbrodniarze? Nie, nie zgadzamy się na to! My polecimy!

Zdumieli się bracia. Lecz oczywiście wyrazili zgodę. Ale byli bardzo ostrożni. Najpierw przywiązali balon do długiej linki i jeden z przyrodników nazwiskiem Pilatre de Rozier wszedł do kosza. Balon wzniósł się w powietrze, pozostał tam przez 4 minuty i spokojnie opadł. Próba była udana, bo człowiekowi nic się nie stało. Kilka jeszcze razy czynili podobne próby. Za każdym razem udane. Więc ostatecznie umówili się, że polecą bez linki. Wybrali dzień 21 listopada: Rok ciągle ten sam: 1783. Balon jeszcze większy: trzy tysiące metrów sześciennych pojemności. Obaj przyrodnicy weszli do kosza. Polecieli. Nie wysoko, bo tylko 150 metrów nad ziemię, ale przelecieli blisko 10 kilometrów, bo w koszu był ogień, który stale podsycali słomą. Opadli niedaleko Paryża.

Ludzie, którzy oglądali balon i ujrzeli jego lądowanie, zbiegli się i patrzyli na ogromną banię, jakby to potwór był jaki. A gdy zobaczyli ludzi, którzy z balonu wyszli, gdy usłyszeli opowiadanie o locie, taki opanował ich entuzjazm, że podarli na kawałeczki surdut pana Pilatre de Rozier. Każdy chciał mieć coś na pamiątkę!

Takie to były te pierwsze loty balonami. Potem coraz więcej ludzi latało, coraz lepsze były balony, coraz większe odległości pokonywały. A jeszcze później przyszły samoloty. Dzisiaj mało balonów się używa, bo niepraktyczne. Ale pamięć o braciach Montgolfier nie zaginie, bo oni pierwsi zbudowali cudowną maszynę, globem przez nich zwaną, która [illegible]

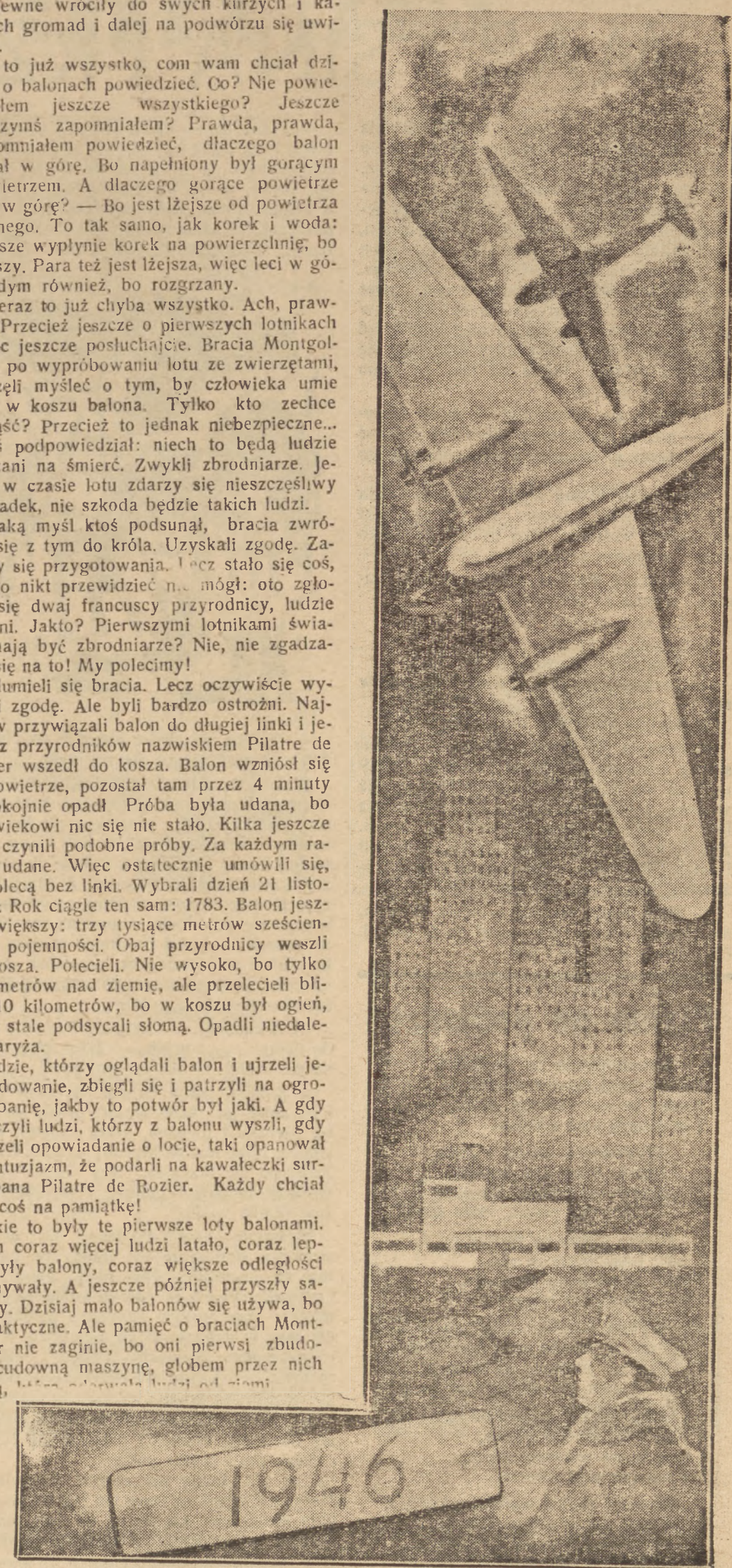

GŁOS WYBRZEŻA

Kronika Wybrzeża

SZKOŁA MORSKA W GDYNI — NIEGDYŚ NAJDROŻSZA, OBECNIE BEZPŁATNA

Państwowa Szkoła Morska w Gdyni, umożliwia młodzieży klas pracujących wykształcenie morskie i dostęp do stanowisk kierowniczych na morzu. Szkoła Morska przedwojenna była jedną z najdroższych szkół w Polsce. Obecnie jest całkowicie bezpłatna.

Kontrolę nad szkołą sprawują czynniki społeczne. W tym celu minister Żeglugi i Handlu Zagranicznego ustanowił Radę Państwowej Szkoły Morskiej, do której wchodzą przedstawiciele marynarki handlowej, marynarki wojennej, Związku Marynarzy, organizacji młodzieżowych, i partii politycznych. Zadaniem rady jest czuwanie zarówno nad poziomem naukowym szkoły, jak i jej obliczem społecznym.

WKRÓTCE PANTOFLE Z RYBIEJ SKÓRY

Próby czynione nad garbowaniem skór rybich w Morskim Laboratorium Rybackim w Gdyni budzą coraz większe zainteresowanie sfer naukowych i fachowych. Ostatnio odwiedzili Laboratorium przedstawiciele pracowni Technologicznej Uniwersytetu Poznańskiego oraz delegacja Przemysłu Skórzanego w celu bliższego zapoznania się z dotychczasowymi badaniami wyników. Instytucje te zamierzają podjąć próby garbowania skór rybich w swoich pracowniach.

15.000 ZŁ NA POMOC ZIMOWĄ ZŁOŻYŁA FIRMA „BACUTIL"

Ostatnio odbyła się w Gdyni uroczystość w cechu rzeźników — wręczenie dyplomów nowym mistrzom. W uroczystości wziął udział wiceprezydent Gdyni, tow. Stolarek, podkreślając w wygłoszonym przemówieniu, udział rzemieślników w odbudowie kraju.

Przemówienie tow. Stolarka spotkało się ze strony przedstawicieli rzemiosła rzeźnickiego z wielkim uznaniem. Dowodem tego jest obywatelski czyn firmy „Bacutil", która na ręce wiceprezydenta Stolarka złożyła sumę 10.000 złotych na pomoc zimową.

Z TEATRÓW I KIN

TEATRY

SOPOT — Teatr Dramatyczny, ul. Rokossowskiego 41 — nieczynny.

GDYNIA — Teatr Marynarki Wojennej — „Wyrok" — ostatnie dni.

KINA

GDYNIA — Warszawa — „Zapomniana melodia"; Atlantic — „Piętnastoletni kapitan".

GRABÓWEK — Fala — „Zygmunt Kłossowski".

CHYLONIA — Promień — „Wielki przełom".

GDAŃSK — Światowid — „Samotny biały żagiel".

WRZESZCZ — Bajka — „Płomień nie zgasł".

OLIWA — Polonia — „A imię ich milion".

SOPOT — Bałtyk—„Ukochany"; Polonia — „Honolulu".

WEJHEROWO — Świt — „Srebrna flota".

SŁUPSK — Polonia—„Wołga Wołga".

TCZEW — Wisła — „Kurhan Małachowski".

LEMBORK — Fregata — „Zwariowane lotnisko".

PUCK — Mewa—„Górą dziewczęta".

WYSTAWY

GDYNIA — Wystawa Grafiki, — sale Zarządu Miejskiego, od godz. 11 —16 codziennie.

SOPOT — „Cyganeria", od godz. 12 — 17, „Sport w ZSRR", „Grand-Hotel"; od godz. 12 — 17 — „Wielka Brytania odbudowuje się" do dnia 17 włącznie.

GDAŃSK — „Polonia" — „Moskwa—Stolica ZSRR" od godz. 10 — 16.

Wydawca:
Komitet Centralny Polskiej Partii Robotniczej
Redaguje:
Komitet Redakcyjny
Godziny przyjęć:
Redaktor Naczelny od godz 15—16
Sekretarz Redakcji „ „ 10—11
Telefony:
Redaktor Naczelny 86-645
Sekretarz Redakcji 88-228
Kier. działów 88-225
ADMINISTRACJA
czynna od godz.: 8—16
Telefon: 88-227
Konto PKO w Warszawie I-1090
BGK Oddz Gł w W.wie Nr 749
Bank Gosp Spół Oddz Wojew w Warszawie Nr 101
PRENUMERATA
zł 60.— miesięcznie wraz z przesyłką pocztową
CENNIK OGŁOSZEŃ
Ogłoszenia urzędowe i reklamy poza tekstem 1 mm x 1 szp. 25.— zł, w tekście 1 mm x 1 szp 40.— zł, opisowe 1 mm x 1 szp 100.— zł.
Adres Redakcji i Administracji
Warszawa, ul. Smolna 12

Co to jest nowoczesny zakład utylizacyjny?

Zwiedzamy „rakarnię" w Żukowie

Nawet przez myśl mi nie przeszło, że wizyta w zakładzie utylizacyjnym, czyli po prostu mówiąc rakarni, może być czymś naprawdę interesującym i pouczającym.

Usłyszawszy propozycję zwiedzenia zakładu utylizacyjnego w Żukowie, w powiecie kartuskim, starałem się wymigać od udziału w wycieczce. I cóż może być ciekawego do zobaczenia w tej ponurej instytucji, — pomyślałem sobie, — ale już od momentu, gdy na zakręcie malowniczej szosy nad rzeką Radunią ujrzałem piękny kompleks fabrycznych budynków z olbrzymim kominem, spowitym w czarny pióropusz dymu, miejsce instynktownej odrazy zaczęła zajmować ciekawość.

Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska" w Żukowie prowadzi od ubiegłego roku przejęty po Niemcach zakład utylizacyjny, przerabiający wszelkiego rodzaju zwierzęcą padlinę. Spółdzielnia przejęła obiekt zniszczony, częściowo rozgrabiony, z uszkodzonymi maszynami i musiała własnymi siłami uruchomić go w ciągu zimowych miesięcy, aby z nastaniem ciepłej pory roku zapewnić władzom sanitarnym możliwość przeróbki całego materiału, dostarczanego fabryce z Gdańska, z powiatu gdańskiego (lewa strona Wisły), morskiego, kartuskiego i kościerskiego.

Produkcja zakładu obejmuje: produkcję skór surowych, mączki mięsno - kostnej, służącej jako pokarm dla trzody chlewnej i ptactwa domowego, włosia, kopyt do produkcji kleju oraz najważniejszego produktu fabryk — tłuszczu do produkcji mydła. Wszystkie artykuły, produkowane przez zakład utylizacyjny, posiadają podstawowe znaczenie dla życia gospodarczego. Po przerobieniu pozostaje jedynie część surowca w stanie płynnym, którą po poddaniu zabiegom dezynfekcyjnym, odprowadza się do rzeki. Wszystko, co posiada konsystencję zawiesiny, użyte jest poza wymienionymi produktami, jako doskonały nawóz, poszukiwany przez rolników.

W ciągu roku 1946 do dnia 9.11 zakład przerobił 1.472 sztuki padliny, przeważnie koni z dostaw UNRRA.

Uzyskano mączki mięsno - kostnej 44.305 kg., 2.566 skór i 462,5 kg. włosia, a nadto około 15.000 kg. kopyt, nie licząc tłuszczu, który w całości odbiera od zakładu Zjednoczenie Przemysłu Miejscowego w Gdańsku.

Posiadanie tego zakładu pozwoliło spółdzielni włożyć w remont różnych budynków na resztówkach około 500.000 złotych i przygotować w ciągu roku podstawy do założenia chlewni, stacji czyszczenia nasion i wzorowego kurnika, które zaczną funkcjonować z wiosną przyszłego roku.

Zakład zatrudnia 22 pracowników. Jego zdolność produkcyjna w ciągu jednej doby przy pracy na 3 zmiany wynosi ca 45 sztuk padliny przy zużyciu przeciętnie 1.000 kg. węgla. Opiekę techniczną nad zakładem sprawuje politechnika w Gdańsku.

Czystość w zakładzie jest obecnie nadzwyczajna. O bowiązują ostre przepisy sanitarne. Robotnik przychodzący do pracy i opuszczający ją przechodzi przez komorę z natryskami, pozostawiając tam swoje ubranie i otrzymując specjalny strój do pracy.

Specjalna winda elektryczna dowozi sztuki z placu do hali preparacyjnej, skąd surowiec trafia do kotła, aby po przejściu skomplikowanego systemu produkcji wyjść w postaci gotowego, całkowicie odkażonego produktu.

Wędrujemy od sali do sali, oglądamy kotły do gotowania tłuszczu, komory dezynfekcyjne, młyn przerabiający mączkę, składnicę skór. Wszystko lśni od czystości i świeżej farby.

UNNRA — głównym dostawcą

„Korzystamy z przerwy w produkcji, aby przeczyścić maszyny — wyjaśnia kierownik produkcji, ob. Zejdel. Spodziewamy się niebawem 15 statków UNRRA. W związku z tym trzeba się liczyć z napływem surowca. Doświadczenie wskazuje, że około 15 proc. koni nie wytrzymuje trudów morskiej podróży i trafia do nas. Bywa taki napływ surowca, że przerobienie go przekracza możliwości produkcyjne. Po obdarciu skóry i zdjęciu kopyt, musimy zakopywać surowiec, gdyż przetrzymywanie go grozi zarazą".

„A jak się przedstawiają możliwości produkcyjne w oparciu o dostawy własnego surowca?" — zapytujemy. Prezes spółdzielni, ob. Zawadzki wyjaśnia, że doświadczenie każe spodziewać się z przydzielonego zakładowi terenu zaledwie 4 sztuk padliny dziennie. Daje to jedno gotowanie dziennie, czyli co drugi dzień pracę na jedną zmianę.

Plany rozwoju

Zakład zabiega o przydzielenie mu terenu miasta Gdyni. Zarząd Miejski Gdyni nosi się jednak z zamiarem uruchomienia własnej rakarni. Rakarnia w Żukowie, — zdaniem swego kierownictwa — posiadając własne środki lokomocji i mając umowę ze spółdzielnią „Bałtyk", jest w stanie obsłużyć również i teren Gdyni. Budowanie nowego zakładu nie jest celowe, skoro istniejący zakład może podołać wymaganiom terenu Gdyni. „Prosiliśmy o podzielenie naszego stanowiska Zarząd Miejski w Gdyni i jest nadzieja, że prośba nasza będzie uwzględniona, informuje nas prezes spółdzielni Zawadzki.

Spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej na naszym terenie mogą poszczycić się posiadaniem takiego obiektu przemysłowego, jak zakład utylizacyjny w Żukowie. Zdobycze nowoczesnej nauki pozwoliły w racjonalny sposób wykorzystać taki surowiec, jak padlina, dając życiu gospodarczemu 5 wartościowych produktów przemysłowych. Ważne jest, że jeden z tych artykułów mianowicie mączka kostno - mięsna służy gospodarstwu rolnemu, wiążąc bezpośrednio produkcję przemysłową z dostawcami surowca — rolnikami.

Gdyby inicjatywa spółdzielni poszła w kierunku związania produkcji zakładu z własną wytwórnią mydła i kleju, korzyści terenowe byłyby jeszcze większe. Współwłaściciele spółdzielni — gospodarze, stałyby się uczestnikami dalekoszerszego, niż dotąd procesu produkcji, w którego rezultatach ludność wiejska jest bardzo silnie zainteresowana. Jak się rozwiną te piękne plany kierownictwa — okaże przyszłość.

M-o

Mały Kack woła o pomoc

Ułatwić mieszkańcom dojazd do Gdyni

Oddalony od Gdyni około 10 km. Mały Kack, posiada przeszło 7.000 mieszkańców, nie ma dotąd bezpośredniej komunikacji z miastem. Około 1.500 pracujących i uczniów musi codziennie we wczesnych godzinach rannych dostać się do Gdyni. W dobie samolotów rakietowych pozbawieni są nawet usług kolei lub komunikacji autobusowej, zmuszeni są przebywać pieszo kilku kilometrową przestrzeń dzielącą ich od przystanku autobusowego w Orłowie. Dotychczasowe starania mieszkańców Małego Kacka o nawiązanie łączności ze światem nie dały żadnych wyników.

1.500 robotników i uczniów zwraca się do Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych i do Dyrekcji MZK z prośbą o pomoc w uruchomieniu w Małym Kacku przystanku kolejowego lub komunikacji autobusowej, przynajmniej w godzinach rannych i wieczorowych, kiedy wracają do domu.

Pod znakiem wielkiej pracy

Wojewódzki Zjazd aktywu ZWM w Gdańsku

W Gdańsku odbył się ostatnio trzeci z kolei zjazd Wojewódzkiego aktywu ZWM. Na zjeździe był obecny sekretarz generalny ZWM Majewski.

Młodzież Wybrzeża, zgrupowana pod sztandarami ZWM może się poszczycić pięknymi wynikami dotychczasowej pracy. Założono kilkadziesiąt dokształcających kursów wszelkiego rodzaju.

ZWM-owcy przenikają na wieś i tam pomagają rolnikom w uprawie ziemi i w zbiorach, zakładają kursy rolnicze, biblioteki i świetlice.

W ramach akcji oświatowej zorganizowali trzy teatry i szereg kin objazdowych.

Ostatnio młodzież powzięła piękne postanowienie: nauczyć każdego autochtona poprawnej mowy ojczystej i historii. I oto czynnych jest już na terenie naszego województwa pięć kursów ZWM dla ludności autochtonicznej, na które uczęszcza kilkaset osób.

Zagadnienie kultury fizycznej też nie jest zapomniane przez młodzież. W ciągu krótkiego czasu powstało w terenie kilkadziesiąt kółek sportowych ZWM.

Na zakończenie zebrania została uchwalona rezolucja, która staje się dla tej młodzieży programem dalszej owocnej pracy. Młodzież zgromadzona w szeregach ZWM postanawia:

1. Stać na straży Demokracji i nie dopuścić do rozbijania bloku demokratycznego przez elementy reakcyjne.

2. Wobec zbliżających się wyborów przyrzekamy strzec porządku, ładu i bezpieczeństwa na terenie naszego województwa. Żadna siła nie zdoła zepchnąć nas z wytkniętej drogi i przeszkodzić w realizacji planu budowania Polski Demokratycznej.

3. Na wszelkie próby naruszenia naszych granic zachodnich odpowiadamy: zawsze będziemy strzec tych granic i nie oddamy ani piędzi naszych prastarych ziem, okupionych ofiarami najlepszych synów Polski. Wśród ludności autochtonicznej naszego województwa przeprowadzamy akcję nauczania języka polskiego, organizujemy kursy oświatowe, teatry ludowe i świetlice.

4. Stoimy twardo na stanowisku uniezależnienia się od kapitalistów zagranicznych i w tym celu organizujemy wyścig pracy na terenie fabryk i warsztatów w całym województwie.

5. Zapewniamy KRN i Rząd Jedności Narodowej, że z drogi wytkniętej przez pierwszych przywódców naszej organizacji nie zboczymy i z coraz większą konsekwencją będziemy realizować nasze plany i dążenia.

6. Konferencja aktywu stoi na stanowisku konieczności powiększenia naszych szeregów i podniesienia poziomu ideologicznego członków.

7. Konferencja poleca wszystkim kołom organizacyjnym kampanię werbunkową do ZWM przedłużyć do dnia 15.11.1946 r.

Jeszcze o sprawach mieszkaniowych

Przedsiębiorstwa prywatne i państwowe opuszczą lokale prywatne

W związku z dotychczasową akcją mieszkaniową, w celu zaspokojenia potrzeb ludzi pracy, na terenie Gdańska, Wrzeszcza i Oliwy, Miejscowa Nadzwyczajna Komisja Mieszkaniowa w Gdańsku postanowiła wezwać wszystkie prywatne firmy i przedsiębiorstwa o charakterze przemysłowo - handlowym, zajmujące prywatne mieszkania na biura, do opuszczenia tychże lokali w terminie do dnia 15 stycznia 1947 r.

Przy obecnym zapotrzebowaniu na mieszkania, MNKM musi posunąć się do środków, które w rezultacie w dużym stopniu zaspokoją głód mieszkaniowy mas pracujących Wybrzeża.

MNKM stoi na stanowisku, że wszystkie firmy i przedsiębiorstwa na terenie Gdańska, Wrzeszcza i Oliwy miały dość czasu na urządzenie swych lokali biurowych własnymi funduszami w domach podniszczonych, nie zajmując tak bardzo dziś potrzebnych dla ludzi pracy lokali mieszkalnych.

Analogicznie wszystkie biura przedsiębiorstw państwowych i samorządowych, znajdujące się w izbach mieszkalnych, winny być w jak najkrótszym czasie przeniesione na teren danego przedsiębiorstwa.

Tom.

Dyrekcja, administracja i robotnicy stoczni nr 1

na wspólnej naradzie wytwórczej

W dniu 15 bm. w stoczni nr. 1 odbyła się pierwsza narada wytwórcza.

Udział w naradzie wzięli: dyrekcja stoczni nr 1, inżynierowie, technicy, kierownicy administracyjni, majstrowie, kierownicy działów, przedstawiciele rady zakładowej, komitetów partyjnych PPR i PPS, oraz przedstawiciele Wydziału Przemysłowego Wojewódzkiego Komitetu PPR.

Tow. Matusewicz z wydziału przemysłowego Kom. Wojew. PPR po naświetleniu sytuacji politycznej i gospodarczej w Polsce omówił szczegółowo znaczenie narad wytwórczych.

Narady wytwórcze przez konfrontację dyrekcji, kierownictwa zakładów i robotników mają na celu udoskonalenie sposobu produkcji, zastosowanie jak najdalej idącej oszczędności w surowcu, w materiale, wyszukanie i usunięcie przeszkód, nagrodzenie wysiłków robotnika.

Nadto narady te również mają na celu nawiązać szczerą i bezpośrednią więź między kierownictwem zakładu a robotnikami opartą na wzajemnym zrozumieniu i szacunku.

Kierując się tymi względami postanowiono jednogłośnie zwoływać narady wytwórcze przynajmniej raz na miesiąc dla poszczególnych wydziałów. Po dokonaniu wyborów komisji narad wytwórczych, w skład której weszło trzech majstrów i dwie osoby z dyrekcji, przystąpiono do omówienia wewnętrznych spraw stoczni.

Gdynia remontuje mieszkania

Zakład Ubezpieczeń Społecznych w Gdyni, posiadający w mieście wiele bloków mieszkalnych, przystąpił do remontu zniszczonych mieszkań. Koszta remontu kilkuset mieszkań wynoszą około 5 milionów zł.

Jednocześnie ZUS przystępuje do odbudowy największego gmachu Gdyni, przy ul. 10-go Lutego.

Również kwaterunek wojskowy odremontował ostatnio kilkadziesiąt mieszkań w blokach przy szosie Gdynia—Orłowo; odremontowane mieszkania oddane już zostały do użytku.

Zawiadomienie

Dnia 1 grudnia br. o godz. 10 rano, w lokalu Komitetu Wojewódzkiego PPR w Gdańsku, odbędzie się Zjazd Sekretarzy kół i aktywu partyjnego Wydziału Komunikacyjnego: kolejarzy, pracowników komunikacji samochodowej, dróg wodnych i dróg kołowych województwa gdańskiego. W naradzie wezmą udział przedstawiciele K. C.

„TRYBUNA WOLNOŚCI"
Organ Komitetu Centralnego PPR

Z naszych portów

WRACAJĄ REPATRIANCI Z WIELKIEJ BRYTANII

Dnia 19 bm. przewidywane jest wejście do portu gdańskiego statku „Marine Raven", który przywiezie żołnierzy polskich — repatriantów z Wielkiej Brytanii w liczbie około 2.000 osób.

PORT RYBACKI WŁADYSŁAWOWO WOLNY OD MIN

W porcie rybackim Władysławowo pracowały przez okres jednego miesiąca trawlery radzieckie, które rozminowały port. Prace oczyszczające zostały ostatecznie zakończone i dowódca dywizjonu radzieckiego zawiadomił oficjalnie kapitana portu, że port i reda są całkowicie oczyszczone z min.

ODBUDOWA URZĄDZEŃ PORTOWYCH

W porcie rybackim we Władysławowie, kontynuowane są prace nad odbudową urządzeń portowych. Zainstalowano nowe światła wejściowe, które umożliwią należytą żeglugę. W porcie gdańskim wykonuje się na przestrzeni 800 m bieżących odbudowę falochronu wschodniego, oraz naprawę odcinka nabrzeża przy Dworcu Wiślanym.

PIERZE Z POLSKI DO NOWEGO JORKU

Z Gdyni via Londyn odszedł do Nowego Jorku ładunek pierza polskiego w ilości 10 ton. Pierze załadowane zostało na statek polski „Borysław", który z Londynu zabierze jeszcze 3 tysiące ton kredy.

AWARIA STATKU SZWEDZKIEGO S/S „CEYLON" KOSZTOWAŁA 2 MILIONY ZŁOTYCH

Straty szwedzkiego transportowca S/S „Ceylon", który jak donosiliśmy, uległ awarii pod Gdańskiem, wynoszą 2 miliony złotych. Jest to koszt pracy 4 holowników oraz przeładunku ze statku na barki węgla, by ułatwić ściągnięcie „Ceylonu" z mielizny.

WKRÓTCE NADEJDZIE STATEK SZWEDZKI „WANDA"

Przedsiębiorstwo maklerskie Polska Bałtycka Agencja Okrętowa, oczekuje nadejścia szwedzkiego parowca „Wanda", który przychodził już niejednokrotnie do Gdańska. Ostatnio statek zabrał węgiel do portu Belfast, stamtąd przyjdzie z ładunkiem śledzi. Armatorem jest firma Falkland. Po wyładowaniu śledzi statek zabierze znów ładunek węgla.

40.000 KONI DLA WSI

Centrala Mięsna w Gdańsku zakupiła ostatnio zagranicą 40.000 koni, które dostarcza do Gdańska i Szczecina statki duńskie. Konie są przeznaczone dla wsi.

RUCH STATKÓW

Dnia 15 listopada weszły do Portu Gdańskiego następujące statki: s/p „Clara" — duński, po węgiel, s/p „Montona" — szwedzki, ze śledziami; s/p „Tommelitan" — norweski, pusty; m/s „Pelle" — szwedzki, po węgiel; s/p „Arabet" — szwedzki, po węgiel; s/p „Kaste" — fiński, przywiózł apatyty; s/p „Parsanger" — norweski pusty; s/p „Araler" — szwedzki z rudą; s/p „Cimbria" — duński, pusty; s/p „Knut" — szwedzki, z rudą; m/s „Pierre Victory" — amerykański, przywiózł konie.

Wyszły:

s/p „Hel" — polski, pusty do Gdyni; m/s „Elna" — szwedzki, węgiel; s/p „Axel" — szwedzki, koks; m/s „Lady Kathleen" — norweski, węgiel; s/p „Bertol" — szwedzki, węgiel; s/s „Kattesatt" — szwedzki, koks; s/p „Tom" — szwedzki, koks; s/p „Clara" — duński, węgiel.

Zwiększone połowy morskie

umożliwiają eksport konserw rybnych

Stały wzrost naszego taboru rybołówczego, który obecnie liczy już około 20 jednostek, zwiększył również wzrost połowów morskich. Ryba morska dociera już prawie do wszystkich zakątków kraju, stając się składnikiem codziennego pożywienia pracujących. Spożycie ryby morskiej w kraju wzrosło w ciągu ostatniego roku prawie dziesięciokrotnie.

Ponieważ, według obliczeń sfer rybackich, spożycie krajowe nie wyczerpie wciąż zwiększających się połowów, czynione są starania o rozpoczęcie eksportu. Eksport ryby morskiej może być dokonywany jedynie w postaci konserw rybnych lub ryby wędzonej. Nasz przemysł rybny liczy obecnie kilkadziesiąt większych i mniejszych zakładów rybnych, rozsianych po całym Wybrzeżu. Północne Zjednoczenie Przemysłu Konserwowego, obejmujące cały pas Wybrzeża, posiada 22 zakładów czynnych. Produkcja przetwórczego przemysłu rybnego osiągnęła pod względem jakości bardzo wysoki poziom, umożliwiający zdobycie zagranicznych rynków zbytu.

Już czynione są próby zdobycia dla polskich konserw rybnych odbiorców rynku czechosłowackiego. W tej sprawie udał się niedawno do Pragi naczelny dyrektor Północnego Zjednoczenia, ob. Galecki. Z Gdyni, z fabryki „Temperyb", wysłana została do Pragi pierwsza partia konserw rybnych, jako próba. Według otrzymanych wiadomości, możliwy jest eksport konserw rybnych również do innych, sąsiednich krajów.

Ryby wędzone, szczególnie łososie i węgorze, eksportujemy już do Anglii i krajów skandynawskich.

Z życia partyjnego

Wspólne posiedzenie PPR i PPS w Sopocie

W dniu 14 bm. w Sopocie odbyło się wspólne posiedzenie Miejskich Komitetów PPR i PPS. Przedmiotem obrad było uzgodnienie współpracy między obiema partiami w akcji przedwyborczej.

W słowie wstępnym sekretarz MK PPR, tow. Klimczak, omówił szczegółowo konieczność przeprowadzenia akcji uświadamiającej wśród najszerszych mas o dorobku demokracji polskiej.

Nawiązując do współpracy PPR i PPS w okresie przedwyborczym mówca dał wyraz porozumieniu, jakie istnieje między tymi partiami, czego dowodem była wspólna praca, wykonana w okresie poprzedzającym referendum.

W dyskusji uzgodniono konieczność kierowania prelegentów do zakładów pracy, zdwojenia aktywności związków zawodowych, urządzania zebrań informacyjnych, kursów instruktorskich, mających na celu zapoznanie społeczeństwa z istotą wyborów oraz z dotychczasowymi osiągnięciami Rządu Jedności Narodowej.

Armia w bieli 3)

W gabinecie internisty

Dziewczyna wchodzi w piżamach.

Ktoś, kto z nią przedtem rozmawiał nie poznaje jej głosu. Przedtem mówiła, jak normalna dorosła osoba, teraz szczebiocze wysokim dyszkantem pełnym przyśmieszków. Nie jest wyzywająca, jest razem z tym wszystkim miła, tylko komiczna. Skarży się na wątrobę.

Na tuszę nie racze patrzeć.

— Czy miała już jakieś ataki?

— Owszem — odpowiada dystyngowanie.

— Co pani robi? — pyta się dalej lekarz.

— Utrzymuję się z pracy — świergoci.

— Nie jestem urzędem skarbowym, nie obchodzi mnie zupełnie z czego pani się utrzymuje, tylko jaki rodzaj pracy pani wykonuje.

Rzeczowe pytania lekarza osadzają ją nieco. Okazuje się, że dolegliwości ma od czasu opuszczenia obozu, w którym odżywiała się przeważnie brukwią. Na żądanie rozbiera się szybko i z prostotą.

— Tu boli? A tam? A w tym boku?

Lekarz podejrzewa lambrię, pasorzyty, które dostają się do ustroju razem z jarzynami i są nie rzadkie u osób młodych. Wydaje mu się, że umieściły się w woreczku żółciowym. Każe zrobić próbę kału i moczu i przyjść pacjentce z wynikami za parę dni. Dziewczyna kończy kaskadą perlistego śmiechu i wychodzi.

Teraz rozlega się stuk kostura i głos: U mnie w Dziędziołkowicach to krowy miały lepsze zagródki, niż lekarze teraz w Warszawie gabinety. Głos kaszle, i ciągnie dalej wojowniczo: To konsyliarz pewno chce, żebym się rozebrała?

— Naprzód pani będzie łaskawa odpowiedzieć na kilka pytań, mówi lekarz, który już ochłonął z wrażenia.

— Będę, — pada krótka odpowiedź.

— Pani urodzona?

— W Brasławskiem, z matki Kunickiej, z tych od Zasławia. Chociaż co to ma do moich nerek? — zastanawia się sama.

— Dla was teraz wszystkie nerki jednakowe, myśli doktorek może, że nie wiem? A ja dawno już nie wzywam do siebie, tylko chodzę tak, bo uważam, że jak inni mogą, to i mnie moje pałki też z głowy nie zlecą.

— No, a teraz to już wszystko opowiem doktorkowi, co trzeba. — Poprawia się na krześle wygodnie i zaczyna.

— Zeszłego roku, tak mniej więcej o tej porze, co teraz, tak przed imieninami mojej najstarszej bratanicy...

Lekarz drętwieje. Zna dobrze ten rodzaj pacjentów, którzy, aby powiedzieć, że ich bolą nerki, muszą opisać dzieje swojej rodziny w ciągu ostatnich dziesięciu lat, i wie, że nie ma na to rady, bo inaczej nie potrafią. Więc słucha ścierpliwie, wyławiając z powodzi zdań to, co mu jest potrzebne.

Potem, długo potem, starsza pani idzie się rozebrać. Obstawia się parawanem jak obronnym murem, a kiedy zza niego wychodzi, jest wyraźnie „zapłoniona" i rzuca spod spuszczonych rzęs zażenowane spojrzenia. Nie widzi, że lekarz dostrzega jej płeć o tyle tylko, ile mu to jest do postawienia diagnozy potrzebne.

Podczas osłuchiwania starsza pani podtrzymuje białe, obramowane klockową koronką ramiączka koszuli jak tarczę. Lekarz wścieka się w duchu. Ocieranie się płótna o słuchawkę powoduje ciągłe dodatkowe szmery, a nie chce już z „babcią", jak ją w myślach nazywa, zaczynać.

Badanie trwa długo. Pacjentka cierpi. Okazuje się, że ma chore nerki, oprócz tego jak to jej właśnie przystoi dosyć silnie rozwiniętą astmę.

— To rodzinne, — dodaje natychmiast z godnością, ale jest bardzo przejęta i robi się trochę mniej wspaniała.

— Więc co mi pan przepisze doktorze? Uważa pan, że to wystarczy? Czy jakieś „wody" też?

Pod koniec znów wstępuje na piedestał: niech ją doktorek tylko dobrze wyleczy, ona już o nim nie zapomni. Potem bierze recepty. Ale czy tylko w aptece zrobią uczciwie lekarstwo? Może żeby jej polecić jakąś uczciwą aptekę? O zioła, to chętnie, jedyne w co wierzy.

Potem stara pani żegna się łaskawie i nie bez wdzięku. Uczciwie mnie doktorcio zbadał, nie mogę powiedzieć. I nawet podobny jest trochę do nieboszczyka Andrzeja, jak był w jego wieku, tylko bardziej łysy... Podoba mi się doktorcio, owszem, poślę mu trochę pacjentów.

Uff, myśli lekarz, nareszcie! Bój się Boga Babciu, nie posyłaj.

Dziewiąta godzina. Koniec.

W tej chwili rozlega się pukanie do drzwi:

— Panie doktorze, tylko na chwileczkę...

— Proszę bardzo — mówi serdecznie lekarz na widok bladego człowieka, który tak długo czekał pod oknem w poczekalni.

Wie dobrze, co zawierają papierki, które ten mu wręcza. A pacjent też wie, bo mówi sztucznym, niefrasobliwym głosem: Potwierdziło się pańskie przypuszczenie, panie doktorze, do dziesięciu w polu widzenia. Prątkuję. Więc lekarz siada z nim jeszcze — na pół godziny.

Po wyprawieniu tego pacjenta namyśla się chwileczkę: Iść do tych na mieście, czy już nie? Energicznie zdejmuje fartuch.

Wtedy pojawia się ktoś, kto ma ogromny szacunek dla pracy lekarza i widzi jego zmęczenie, ale zaczyna.

— Proszę mi tylko jeszcze powiedzieć, panie doktorze, czy takie społeczne choroby jak...

Więc doktór uśmiecha się bohatersko i z fartuchem w ręku znowu siada...

Janina Wierzbowska

„Dolina róż" w Karlovo

Bułgaria będzie znowu produkowała cenny olejek różany

Olejki różane, z których wyrobu słynął Wschód, są iście legendarne: tak ze względu na ich jakość, jak i ze względu na ich cenę. Wysokość ceny jest jednak zrozumiała, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że z 30.000 róż otrzymuje się zaledwie uncję; tj. 2.843 grama olejku 4.500 kilogramów płatków dają 3 kilogramy olejku.

Wyrób olejków różanych znany był również w Europie. Jednym z krajów, gdzie kwitnęła ta sztuka, była Bułgaria. Przed wojną zbierano tam ok. 120 kwintali płatków różanych rocznie.

Głównym bułgarskim ośrodkiem tego przemysłu była sławna dolina Karlovo. Warunki do hodowli róż są tutaj znakomite. Dolina ta jest głęboko ukryta tak, że nie dosięga tam słony wiatr morski i lodowate podmuchy z północy zatrzymują się na okolicznych wzgórzach.

Ludowa legenda bułgarska mówi, że na miejsce, gdzie obficie kwitną kwiaty, wróżka rzuciła swój szal. Widocznie na dolinę Karlovo spadło zatem wiele szali dobrych wróżek. Przed wojną był to najwspanialszy kwitnący ogród, jaki można sobie wyobrazić.

Niestety, dzisiaj ślady łaskawości dawnych wróżek zatarły się całkowicie. Plantacje róż w dolinie Karlovo zmarły, spalone lub wydarte z ziemi.

Dewastacja jednej z najrozkoszniejszych miejscowości na świecie jest dziełem Niemców. W czasie okupacji Bułgarii niszczyli i ogałacali ten kraj, biorąc co się dało: 700 milionów kg tytoniu, 5 milionów owiec, 3 miliony świń itd. Trzecia Rzesza nie potrzebowała róż, ale róże z doliny Karlovo zostały skazane na śmierć. Cisza szczęśliwej doliny została zmącona hukiem traktorów, które wydarły z ziemi róże, aby zrobić miejsce pod pożyteczniejszą fasolę i soję.

Pozbawiło to Bułgarię poważnego źródła dochodów, gdyż przed wojną fabrykanci perfum z całego świata zaopatrywali się tutaj w olejek różany, dostarczany z 6.300-hektarowej plantacji w dolinie róż.

Obecnie wiele wysiłków trzeba, aby dolina Karlovo stała się z powrotem doliną różaną. Częściowo udało się już zatrzeć ślady zniszczeń i na wiosnę przyszłego roku nastąpi prawdopodobnie pierwszy powojenny zbiór róż, który pozwoli Bułgarii, tak jak przedtem, zaopatrywać w cenny olejek światowe wytwórnie perfum, zmuszone do obywania się dotąd „ersatzami".

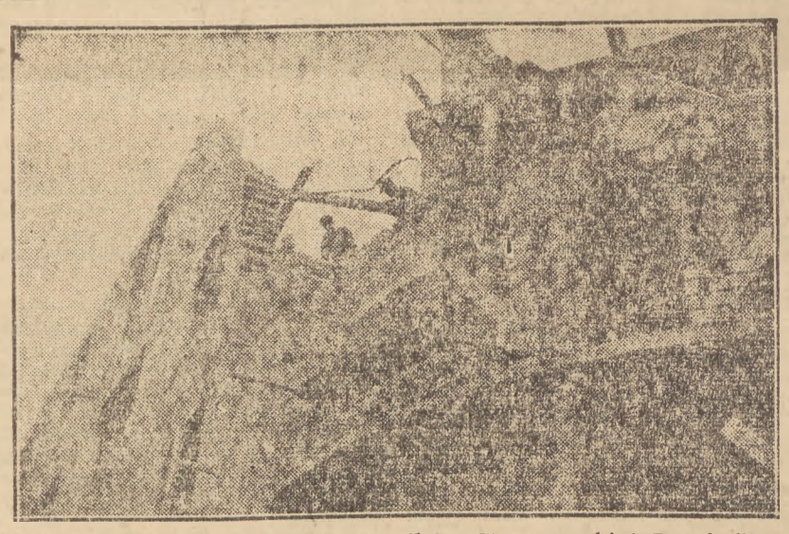

Odbudowa domu dla pracowników Warszawskiej Dyrekcji Kolei Państwowych na Kolonii Staszyca

Nauka i TECHNIKA

Odkrycie platyny

Od metalu-proszku do metalu-diamentu i zastosowania w technice

Jeszcze w XVI stuleciu w kopalniach złota w Kolumbii, znaleziono ziarenka nieznanego dotąd metalu, który błyszczał jak srebro oraz podobnie jak złoto i srebro nie rdzewiał. Widoczne było z tego, że znaleziono nowy szlachetny metal, który Hiszpanie nazwali „srebrem". Kiedy jednak spróbowano zrobić z niego cokolwiek, pojawiły się nieoczekiwane trudności.

Złoto, srebro, żelazo, ołów i inne znane w tym czasie metale topiły się względnie łatwo. Otrzymanie z nich litego stopu nie nastręczało wielu trudności. Tymczasem stopienie nowoodkrytego metalu i przemiana jego odrębnych ziarenek w taki lity stop nie udawała się w żaden sposób.

Kłopoty królów hiszpańskich

„Srebrzec" nawet w najsilniejszym żarze, wytwarzanym przez ówczesne piece hutnicze, pozostawał twardy. Nawet rozżarzony do białości nie stawał się kowalny. Wszelka wiedza okazywała się wobec tego tajemniczego metalu bezsilna.

Odkrycie to dostarczyło królom hiszpańskim niemało kłopotów. Bali się oni, że ktoś może jednak znaleźć sekret topienia „srebrca" i zacznie go mieszać do wyrobów ze złota i srebra.

W strachu więc przed fałszerzami monet powzięli hiszpańscy monarchowie decyzję, aby wszelkie ilości wydobywanego w kolumbijskich kopalniach tajemniczego metalu zostały bezwarunkowo przy świadkach rzucane do wody.

I odtąd królewscy urzędnicy posłusznie z całym ceremonialem wypełniali nakaz władzy, rzucając do kolumbijskich rzek dobywany piasek nowego metalu. Tak działo się więcej, niż sto lat.

Wiadomość o opornym „srebrcu" stopniowo zaczęła przenikać do innych krajów. Próbki jego znalazły się w laboratoriach europejskich uczonych. Ale dopiero w 1750 roku Watson ustalił, że „srebrzec" jest nowym pierwiastkiem chemicznym, który odtąd znany jest pod mianem platyny.

Platynę uzyskiwano z rud, w których znajdowała się razem z innymi metalami, drogą skomplikowanej chemicznej obróbki. Przy tym otrzymywano czystą platynę w postaci sypkiego proszku, którego nie umiano zużytkować.

Przekorna platyna

W 1784 r. Achard znalazł sposób topienia platyny razem z arszenikiem, a potem po usunięciu arszeniku można było otrzymywać przedmioty z platyny.

Na tej podstawie wykonano właśnie w 1809 roku pierwszą platynową retortę dla zgęszczania kwasu siarkowego.

W tym samym czasie nauczono się otrzymywać kowalną platynę również innymi sposobami. Wszakże sposoby te były ogromnie skomplikowane, szkodliwe dla zdrowia robotników i w rezultacie dawały takie nieznaczne ilości kowalnego metalu, że wszelkie wyroby z platyny kosztowały baśniowe sumy.

W tym samym okresie odkryto platynę również w Rosji w kopalniach na Uralu. W języku rosyjskich górników nazywała się ona „białym metalem syberyjskim". Zapasy jego w Uralu były tak wielkie, że roczne wydobycie przekraczało kilkanaście razy roczne wydobycie w całym świecie.

Rosjanin Sobolewski znajduje sposób obróbki platyny

Rosjanie również zaczęli próby nad znalezieniem sposobów obróbki platyny. Ich próby uwieńczone zostały większym sukcesem. Oporna platyna została wreszcie poskromiona. Było to przed 120 laty. Piotr Grigoriewicz Sobolewski pierwszy odkrył drogę łatwego przekształcenia platynowego proszku w twardy i kowalny metal.

Przystępując do pracy nad oczyszczeniem uralskiej platyny, Sobolewski próbował wszystkich znanych w tym czasie sposobów obróbki tego metalu. Niejednokrotnie wypróbowywał sposób topienia platyny przy pomocy domieszki arszeniku. Jedna z takich prób zakończyła się niepowodzeniem. Ale właśnie to niepowodzenie pozwoliło Sobolewskiemu na dokonanie jego odkrycia.

Zmieszawszy, jak trzeba było, gąbczastą platynę z węglem, nagrzewał tę mieszaninę w tyglu. Po pewnym czasie z jakiegoś powodu trzeba było przerwać doświadczenie. Dla oczyszczenia tygla zaczął Sobolewski gorącą mieszaninę platynowego proszku i węgla rozcierać tłuczkiem. I właśnie wtedy zauważył, że ziarenka platyny zlewają się jedno z drugim. Począł naciskać je tłuczkiem silniej. Cały proszek platyny zlał się w jeden kawałek metalu, który pod naciskiem dawał się formować jak glina.

Nieudane doświadczenie przyczyną odkrycia

Badacz zrozumiał, że znalazł drogę do ważnego odkrycia. I już niebawem 15 maja 1826 roku mógł napisać w tej sprawie memoriał, który podawał od tak dawna i jak dotąd daremnie poszukiwany sposób obróbki platyny.

Oto główny ustęp z memoriału Sobolewskiego:

„Oczyszczoną platynę w gąbczastej postaci kładziemy do okrągłej żelaznej formy, którą poddajemy silnemu ciśnieniu przy pomocy prasy i po wyjęciu otrzymujemy jednolity krążek. W tej postaci platynowy krążek nie odznacza się jeszcze kowalnością i siła spojenia poszczególnych cząstek platyny z sobą, nie wytrzymuje jeszcze mocniejszych uderzeń, krążek łamie się i kruszy. W celu przekształcenia takich krążków w platynę kowalną należy je jedynie podgrzać do białości i utrzymując w tej temperaturze poddać ponownemu ciśnieniu przy pomocy prasy. Od tego ciśnienia krążek platyny zmienia całkowicie swój wygląd: ziarnista jego postać przemienia się na litą i platyna staje się całkowicie kowalna. Teraz już krążki normalnym sposobem można formować w płytki lub sztaby dowolnego kształtu".

Nowa dziedzina metalurgii proszkowej

Odkrycie Sobolewskiego, które dało podstawy pod nowy dział metalurgii tzw. proszkowej, ma znaczenie nie tylko w odniesieniu do platyny. Długi czas wprawdzie ten dział metalurgii był zaniedbany. Dopiero rozwój elektrotechniki zwrócił badaczy z powrotem na tę drogę.

Najpierw wrócono do odkrycia Sobolewskiego przy próbach zastosowania wolframu do drucików w żarówkach. Normalna droga topienia metalu nie dała rezultatu, gdyż jeżeli temperatura topienia platyny wynosi 1755 stopni, to temperatura topienia wolframu sięga 3370 stopni. Sposób postępowania ze sproszkowanym wolframem okazał się tutaj o wiele dogodniejszy.

Ten sam sposób okazał się w technice przydatny również do otrzymywania tzw. metali - diamentów, to znaczy metali odznaczających się jeszcze większą twardością, niż wszelkie znane trudno topliwe metale, jak platyna, wolfram, tytan. Z metali - diamentów wyrabia się noże do cięcia innych metali.

ISTNIENIE ORGANIZMÓW JEDNOKOMÓRKOWYCH ODKRYTO STOSUNKOWO NIEDAWNO. Pierwszy, który uzupełnił wiedzę o naszym świecie zwierzęcym wiadomością o stworzeniach jednokomórkowych był duński uczony Mueller, żyjący w latach 1730 do 1784. Odkrycia swojego dokonał on, badając wodę, do której zanurzono siano. Jednokomórkowe organizmy, których istnienie zaobserwował, nazwał „animalia infusoria".

*

WŚRÓD POKRYTYCH LASAMI GÓR SYBERYJSKICH ZNAJDUJE SIĘ NAJGŁĘBSZE JEZIORO na kuli ziemskiej — Bajkał: głębokość jego dochodzi do 1.741 metrów. Objętością wody Bajkał przewyższa morze Bałtyckie, chociaż powierzchnią jest wiele razy mniejszy.

Stanisława Sowińska 5)

„Barbara"

LATA WALKI

Wspomnienia oficera Sztabu Głównego A. L.

WRESZCIE po wielu poszukiwaniach, znaleźliśmy przy ul. Nowogrodzkiej mały pokoik na trzecim piętrze, który wynajmowała dozorczyni. Wprawdzie sąsiedztwo nie było nadzwyczajne, gdyż sąsiadem był przodownik policji granatowej z rodziną, ale pokój miał oddzielne wejście od frontu, z przedpokojem, od którego prócz do naszego było również wejście do innego pokoju, zajmowanego przez administrację domu. Administrator urzędował tylko dwa razy w tygodniu, co było nam bardzo na rękę. Chodziło do niego dużo interesantów i w razie czego zapowiedzieliśmy wszystkim, żeby tłumaczyli się, iż przyszli do administratora celem odnajmu mieszkania.

Przedstawiłam się dozorczyni jako szmuglerka, jeżdżąca po towar na wieś, i powiedziałam, że przysłała mnie i ręczy za mnie znajoma jej z widzenia służąca („Celina"), która często przychodzi do tego domu do zieleniarki Marusi. Dozorczyni obejrzała mnie od stóp do głów współczującym wzrokiem i machnęła lekceważąco ręką.

— Jakoś się pani na tym handlu nie wypasła, chudziątko takie wymizerowane. Lubię biednych ludzi, a że pani ma biedę to od razu poznać.

Rzeczywiście wyglądałam nieszczególnie, blada i chuda, w grubej nieokreślonego koloru jesionce, nie grzeszącej zbytnią elegancją, fantastycznym berecie i wysokich bucikach do sznurowania, o niemiłosiernie wykrzywionych obcasach.

— Daj pani zadatek i sprowadź się z Bogiem, oto klucz do mieszkania. Spodobała mi się pani — mówi dalej dozorczyni, nie zapytawszy mnie nawet o nazwisko.

Teraz zaczęły się kłopoty z dokumentami i z zameldowaniem. Jak mnie poinformowano, Niemcy przed kenkartyzacją, która się rozpoczęła, prowadzili dość ścisłą kontrolę ewidencji ludności i meldunków i zwracali specjalną uwagę na ludzi, przybyłych z terenów przyłączonych do ZSRR w 39 roku, według ich pojęcia „zbolszewizowanych".

Kombinowaliśmy różne fantastyczne pomysły, ale nic nam jakoś do gustu nie przypadło. Wreszcie postanowiłam postarać się o wsteczny odcinek zameldowania na „lipne" (fałszywe) nazwisko i dopiero na tej podstawie zameldować się na Nowogrodzkiej. Ale łatwiej pomyśleć, trudniej wykonać. Zdarłam prawie resztę zelówek w poszukiwaniu amatorów zrobienia wstecznego meldunku.

I znów pomogli mi „szmuglerzy". Tym razem z Targówka, którzy wprowadzili mnie, ni mniej ni więcej, tylko w gniazdko NSZ-towców i przedstawili mnie jako zajadłego wroga „masonów, bolszewików i żydo-komuny", czynnego członka organizacji z kresów, która nielegalnie przybyła do Warszawy, by dalej pracować.

Po dwudniowych wizytach u nich, w towarzystwie moich znajomych, wizytach na których moją jedyną funkcją było milczenie i nieokreślone kiwanie głową, mogące stosownie do okoliczności uchodzić za potwierdzenie lub przeczenie, otrzymałam wsteczny meldunek i oczywiście ulotniłam się. Teraz mogłam się normalnie zameldować, co też niezwłocznie uczyniłam. Od dzisiaj nazywam się „Natalia".

Po kłopotach z meldunkiem, zaczęły się kłopoty z umeblowaniem. Pokój miał tylko cztery gołe, w dodatku mocno obszarpane ściany, my zaś nic literalnie nie posiadaliśmy. Jak tu założyć gospodarstwo z pustymi dosłownie rękoma?! Po dwóch nocach, przespanych na gołej podłodze, kości niemiłosiernie bolały. Wtedy wpadło nam na myśl, udać się oczywiście do „Stachy".

Dostaliśmy od niej żelazne łóżko bez siatki, dziurawy siennik, kulawy stołek i żelazny piecyk o trzech nogach. Szewcy podarowali nam koc. Dozorczyni, widząc jak sprawy się mają, przyniosła nam zardzewiały czajnik, w którym później gotowaliśmy zupę, kartofle i wszystko co się dało. Prócz tego mieliśmy jeszcze dużą wojskową menażkę.

I tak rozpoczęliśmy życie na nowym gospodarstwie. Piecyk ustawiło się na cegłach, skutkiem czego wciąż się chybotał i groził wywaleniem. Zamiast siatki do łóżka, Olek tak jakoś zmyślnie powiązał je drutem, że wstawaliśmy rano pokłamani od wpijania się drutów w żebra, a przy tym obsypani słomą, gdyż o prześcieradle nie było co marzyć. Ale byliśmy weseli i zadowoleni, gdyż udało nam się rozwiązać najtrudniejszy i podstawowy problem życia konspiracyjnego, tj. własne mieszkanie.

Gdy posprzątałam elegancko, pobiegłam do „Celiny", aby przyszła obejrzeć nasz „salon", który naprawdę wydał nam się piękny i godny podziwu. Wchodzę do kuchni, w której zwykle króluje „Celina" i oczy moje uderza niesamowity widok. W kuchni nieład jakiego tam nigdy nie widziałam, na podłodze walają się naczynia, „Celina" siedzi przy stole i rzewnie płacze, twarz opuchnięta, pod okiem siniak wielkości pięści. Na mój widok zerwała się i krzyknęła:

— Ja tu dłużej nie wytrzymam z tym pijanym bydlakiem, ucieknę chyba.

— Aha, chyba się pobiłaś z twoim panem, bierz manatki i chodź do mnie. Dosyć tego kucharzenia, z głodu nie zdechniemy — mówię jej, podczas gdy „Celina" pośpiesznie i w milczeniu wiąże swój węzełek, i idziemy do mnie na Nowogrodzką.

ZACZYNAM ROBOTĘ W „TECHNICE"

Tak więc mieszkamy w trójkę. Olek, ja i „Celina". Śpimy w jednym łóżku. „Celina" w nogach. W nocy kurczymy się, by jak najmniej miejsca zająć, gdy nas jeden bok zaboli, odwracamy się na komendę na drugi. Zamiast poduszek, których oczywiście nie mamy, Olek podkłada pod głowę swoje książki, które nareszcie na coś przydały, ja z przywileju Olka kurtkę, „Celina" nic nie podkłada, jak twierdzi, ze względów zdrowotnych, gdyż mając chore serce uważa, że lepiej spać bez „poduszki".

(d. c. n.)

Zakłady Graficzne Spółdzielni Wydawniczej „KSIĄŻKA", Warszawa, Smolna 12. B-1530